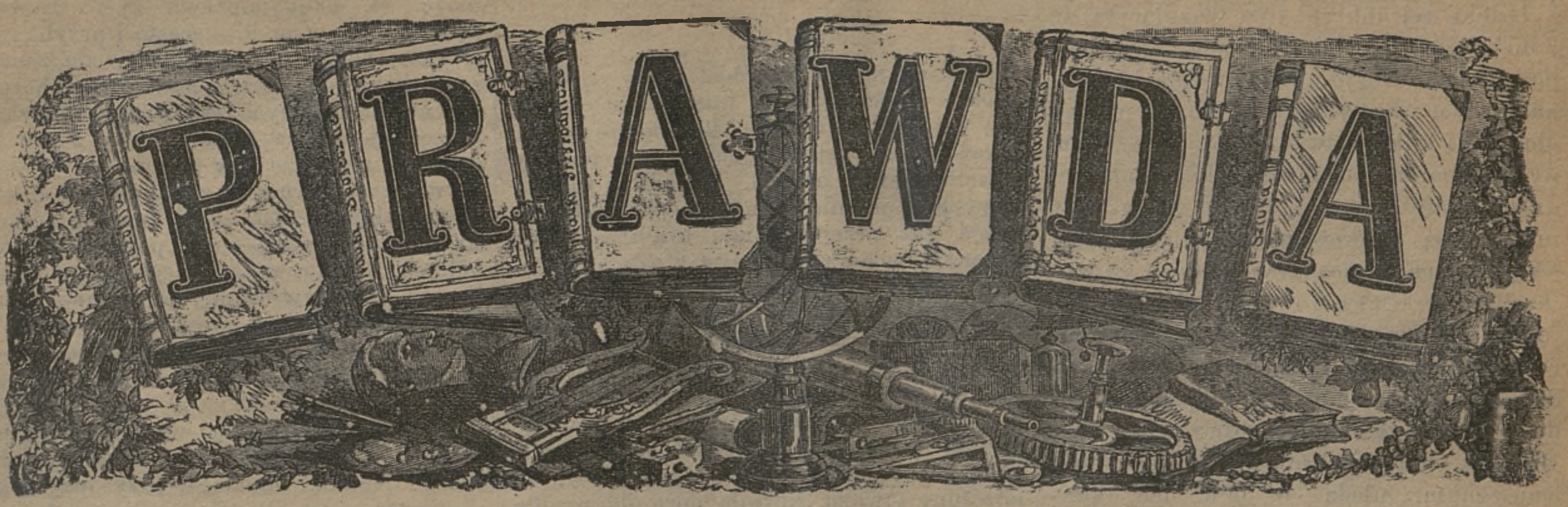
№ 50. Warszawa, dnia 15 (3) Grudnia 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

OD REDAKCYI.

Pismo nasze w roku przyszłym poniesie dotychczasowy swój sztandar: prawdy, uczciwości, swobody przekonań i troski o te skarby, które stanowią nasz dorobek cywilizacyjny, oraz o te czynniki i siły, które życiu naszemu zapewniają bezpieczeństwo i rozwój.

Niezależnie od starań naszych w podnoszeniu treści pisma, jego **dodatek bezpłatny** będzie znacznie powiększony. Resztę tomu IV **Główne prądy literatury XIX stulecia** podzielimy w zwiększonych zeszytach na trzy części, tak że starsi abonenci nasi w czerwcu mieć będą całe dzieło Brandesa. Miarą jego wartości jest fakt, że zostało ono przed ukończeniem prawie wyczerpane. Na drugie półrocze roku przyszłego i pierwsze następnego w dodatku bezpłatnym wydamy:

EKONOMIĘ SPOŁECZNĄ

spolszczoną według świeżej zbiorowej pracy kilkudziesięciu znakomitych uczonych niemieckich. Książka ta obejmie około 400 stronic wielkiej ósemki i stanowić będzie gruntowny podręcznik, jakiego literatura nasza dotąd nie posiada. W handlu księgarskim kosztować ona będzie rs. 2 kop. 50.

Dla ułatwienia nowoprzybywającym abonentom nabycia początku tomu IV (stanowiącego zamkniętą w sobie całość) dzieła Brandesa, zniżamy dla nich cenę dwu zeszytów początkowych (z dwu ostatnich kwartałów) z rs. 1 na kop. **50**.

Przypominamy, jak zwykle, że jedynie wczesne nadsyłanie przedpłaty do Administracyi naszej zapobiega opóźnieniom w wysyłce lub brakom w odbiorze **Prawdy.**

Z WĘDRÓWKI DO CANOSSY.

Moglibyśmy kościelno-polityczny zatarg w Niemczech przepuścić z prądem wypadków bieżących bez zwracania nań uwagi, gdyby w tej walce nie brało udziału, a przynajmniej nie widziało w niej wpływu na swe losy — Poznańskie. Więc chociaż zależność doli naszych braci z Prus od układu stosunków między Friedrichsruhe a Watykanem jest niewątpliwie przeceniana nad Wartą, winniśmy śledzić nawet jej... pozory. I oto mamy znowu kilka drobiazgów, zatkniętych na kądzieli. z której gazety poznańskie przędą nić lepszej przyszłości.

Może wielu czytelników naszych już zapomniało, że przewlókł się przez wszystkie instancye pruskiego parlamentaryzmu t. z. paragraf o biskupach, będący częściowem unieważnieniem ustaw majowych a pozostawiający królowi prawo ułaskawiania złożonych z urzędu dostojników Kościoła. Paragraf ten, opatrzony sankcyą monarszą, spoczywał długo w biurku ks. Bismarka, który, jak zwykle, chciał i tą zwłoką przekonać katolików, że pomimo całej strategii Windhorstów, w jego woli spoczywa ich zwycięstwo. Przed tygodniem partya centrum, podrażniona tą grą kanclerza w absolutyzm, chcąc wielkiem żądaniem wymusić drobne ustępstwa, postawiła w sejmie pruskim wniosek przywrócenia zniesionych przez ustawy majowe artykułów konstytucyi, zapewniających Kościołowi zupełną swobodę. Jakoż... pogrzebany paragraf zmartwychwstał i dr. Piotr Blum, usunięty (1877) z biskupstwa limburskiego, otrzymał ułaskawienie. Dzienniki niemieckie, pijące z gadzinowej studni, zapewniają, że amnestya ta była już dawno postanowioną, mianowicie podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Germanii na Niederwaldzie (który należy do dyecezyi limburskiej); ale nam współczesność jej z datą wniosku o rewizyę praw majowych nie wydaje się przypadkową. Prawdopodobniej wygląda domysł, że ks. Bismark, chcąc zamknąć usta posłom katolickim, któreby niezawodnie zagrzmiały skargą na niestosowanie paragrafu o biskupach, przebaczył jednemu z nich — najniewinniejszemu. Bo kard. Ledóchowski chyba podobnej łaski nie doczeka.

Niemniej pouczającą jest data drugiego manewru. Agencya telegraficzna Wolffa, która oddycha czystem powietrzem rządowem, puściła wiadomość, że następca tronu niemieckiego uda się do Rzymu i odwiedzi... papieża. Jakkolwiek p. Pindter pospieszył ze sprostowaniem, że to tylko jest możliwość, nie zaś pewność, a fałszerze liberalizmu śmieją się z takiej zapowiedzi, licując ona zupełnie z taktyką ks. Bismarka. który pragnie wzgardliwie pominąć przedstawicielstwo katolickie w kraju, t. j. nogi Kościoła, a porozumieć się bezpośrednio z jego głową. Drogi tej próbował kilkakrotnie, bez skutku, bo kuty Windhorst zawsze mu ją przecinał. Ale czego nie zdołał dokonać p. Schlözer (poseł w Watykanie), tego dokonać może następca tronu. Chociaż Leon XIII trzyma się twardo i w czarnoksięstwie dyplomacyi jest biegłym, urokowi jednak dostojnego gościa choć w części ulegnie. Zresztą dobry i pozór, a żelaznemu kanclerzowi idzie przedewszystkiem o to, ażeby jego ustępstwa w „kulturkampfie" wyglądały jako wynik

układów z panem, nie zaś jako zwycięstwo pachołków.

Dzięki tej taktyce i wywiązującym się z niej ruchom, ów „kulturkampf“ przybrał nową postać. Nie jest to już walka dwu wyznań, dwu zasad państwowych, dwu mas, ale walka kilkunastu milionów skrzywdzonych z uporem, samowolą i kaprysami jednego potężnego człowieka. Że ustawy majowe są drakonizmem, że wykazały swój bezsens i niesprawiedliwość, że wymagają gruntownej rewizyi lub poprawy, temu już dziś nikt nie przeczy, prócz narodowo-liberałów, tych gwałcicieli prawdziwego liberalizmu i nieprzyjaciół narodu. Uznaje tę konieczność również i ks. Bismark, ale nie chce ustąpić, być z dołu zmuszonym, uledz w boju, lecz pragnąłby, ażeby sprawiedliwość wybłagano u niego prośbami i pokorą. Przekreśliłby prawa majowe, ale sam, z własnej woli, nie na żądanie uciśnionych. Jest to despotyzm starości, który coraz wyraźniej przebija się w czynach tego nieugiętego człowieka. Stetryczał, skostniał, stał się tak zazdrosnym o najmniejszą odrobinę władzy, że gotów usunąć każdego ministra, któryby śmiał w swej mowie parlamentarnej posunąć się o włos po za przywiezioną z Friedrichruhe instrukcyę. Jak bóg panteistyczny rozpływa się w świecie, tak on usiłuje rozpuścić swą wolę w państwie.

Gdy po tych lub innych manowcach dojdzie do celu ugoda z papieżem, czy na niej wiele zyskają poznańczycy. Niewątpliwie—bo rozczarowanie się ze złudzeń jest także korzyścią. A wreszcie, oni lepiej znają swoje warunki i potrzeby, może więc z prusko-watykańskiego stołu i dla nich jakaś okruszyna spadnie. Że się przy nim nie nasycą i odejdą głodni—to pewna.

Gangrena handlu.

Codzień niemal rozchodzą się po Warszawie wieści o nowych upadłościach mniej lub więcej poważnych firm handlowych, a każde bankructwo nieubłaganie pociąga za sobą szereg innych. Świadomi zakulisowych tajemnic handlowego świata naprzód już przepowiadają, kto urządzi lub urządzić będzie zmuszony t. z. *plajtę* i z matematyczną ścisłością obliczają wysokość aktywów i pasywów. Pisma brukowe komunikują coraz ciekawsze szczegóły: ten założył sklep z 3,000 rs. a zbankrutował na 40,000, ów zarwał własnego teścia, inny z gotówką czmychnął za granicę, pozostawiając wierzycielom weksle, na pokrycie których niema ani grosza pieniędzy, ani odrobiny towaru. Nastała pora obłowu dla pośredników i adwokatów, regulujących interesy swoich klientów, opinia publiczna oburza się na ten rozbój w dzień biały, na to cyniczne najgrawanie się z prawa i zobowiązań, ale oburzenie pomału przeminie, oszuści i pokrzywdzeni załatwią swe spory i znów pójdzie wszystko podawnemu, aż za rok lub dwa powtórzy się w większych jeszcze rozmiarach, z bezwstydniejszą jawnością.

Czytelnik, niewtajemniczony w sekrety naszego handlu i z teoryi tylko znający jego przesilenia, napróżno szukać będzie przyczyn, które wywołać mogły ten chorobliwy objaw. I rzeczywiście, żadne zmiany ekonomiczne nie zaszły, ani w stosunkach wewnętrznych ani zagranicznych, a przynajmniej nie widzimy zdarzeń tak ważnych, żeby aż wywołać mogły gwałtowny przełom. Plaga ciągłych podstępnych bankructw wyrasta samodzielnie na swojskim gruncie, poprostu struna, ze zbrodniczym zamiarem naciągana coraz silniej — pęka, ot i wszystko.

Krachy, upadłości, bankructwa, wszystkie te różnoimienne katastrofy, teoretycznie rzecz biorąc, są chronicznemi, chorobliwemi przypadłościami kapitalistycznego ustroju. To logiczne następstwo zasady współzawodnictwa, gorączkowo dążącej do granicy, po za którą bezkarnie przejść nie może. W ekonomicznem życiu Europy zdarzają się one dość często i przybierają zwykle charakter zaraźliwy, ale zawsze z przyczyn od świata handlowego bezpośrednio niezależnych: czy to wskutek zamknięcia pewnych rynków, czy z powodu nagłego przewrotu w przemyśle wytwórczym, czy to wreszcie z nadmiernej spekulacyi giełdowej, itp. Jak kamień, rzucony z wierzchołka góry, porywa za sobą odłamy skał i masy śniegu, aż w końcu lawiną spada w dolinę, jak domek, kunsztownie zbudowany z kart, po usunięciu jednej wali się cały, podobnież jedna upadłość rodzi drugą a raczej cały szereg innych.

Ale po za tą ogólną stroną sprawa powyższa ma u nas jeszcze właściwe sobie cechy. Nauka, tłomacząc przyrodzoną konieczność pewnych objawów, nie daje im bezwzględnego rozgrzeszenia. Etyka kupiecka chociaż nie wytrzymuje probierza wyższej moralności, nie jest jednak wcale uświęceniem prostego oszustwa i łupiestwa. Teorya, dowodząca, że przestępstwo jest wynikiem wpływów otoczenia i psycho-fizycznej organizacyi jednostki, nie zapewnia złodziejowi bezkarności przed sądem. Systemat kapitalistyczny, w zasadzie swej opierający się na wyzysku pracy, nie daje fabrykantowi prawa oszukiwać przy zapłacie robotnika. Względna uczciwość zachowaną być może w każdej sferze zajęć i przy każdym ustroju społecznym.

Czy u nas kapitalizm rozrósł się do tego stopnia, że spotykane gdzieindziej wady występować tu muszą w spotęgowanej formie? Czy przemysł nasz rozwija się tak gorączkowo, że aż zalewa rynki nadmiarem swoich wytworów? Czy może nastąpiło ogólne przesilenie finansowe? Nie, nic podobnego nie zaszło. Słychać o zawiedzionych spekulacyach na zbożu, które spowodowały upadłość kilku firm, ależ to przecie nie tłomaczy bankructwa np. kupców galanteryjnych lub bławatnych. Chcąc więc dotrzeć do przyczyny tego smutnego faktu, porzucić należy dziedzinę ogólnych te-

---

3)

ON I ONA.

IV.

— Obowiązki żony? Kiedy ja... męża mego nie kocham.

— Ach, proszę pani: obojętność dla męża bywa zwykle w żonie skutkiem, a nie przyczyną wiarołomstwa. Niejedna, wychodząc na zabawę, oburzyłaby się, gdyby ją posądzono, że go nie kocha, a powracając, wyznaje przyjaciółce, że go nigdy nie kochała. Przemianę taką może sprowadzić jeden walc lub mazur, przetańczony z miłym chłopcem.

— Czemu pan nie idziesz konsekwentnie do kresu i ze swej gramatyki niewieściego serca nie usuniesz wyjątków? Po co mówić: „niejedna“ — „zwykle“ — „często,“ kiedy przez wstawienie wyrazów: „każda“ — „zawsze“ reguła stałaby się okrąglejszą a byłaby równie niedorzeczną.

— Wtedy byłaby dopiero niedorzeczną, bo wyjątki znam, a więc usuwać ich nie mogę.

— Gdzie pan zbierałeś swoje spostrzeżenia? Chyba bardzo... nisko?

— Przeciwnie, dość wysoko. Znalazłem rzeczywiście wiele stosunków trwałych w formie, ale dużo kruchych w istocie. Widziałem masę par, które wyglądały jak dwie książki różnej treści, oprawione w jeden tom przez introligatora — księdza. Trzymają się razem, noszą wspólny, złotemi głoskami wyciśnięty tytuł: *małżeństwo*, ale gdy kto uważny do nich zajrzy, niewątpliwie zobaczy, że sobie wzajemnie przeczą, mogłyby być rozdzielone i równie dobrze wejść w inne połączenia. Pani swego męża nie kochasz, a przecie dotąd byłaś formalnie wierną żoną i dla świata nią pozostaniesz, jeżeli ktoś twoich szczerych wyznań nie podsłucha i nie rozgłosi. I czemu zawdzięczacie wasz związek? Kłamstwu. Powiedz pani dziś mężowi otwarcie, co myślisz, a jutro cię opuści. Troskliwe matki nasze wiedzą, co robią, zalecając swym córkom przyzwoitą obłudę.

— Pan strasznie wyzyskujesz kilka nieopatrznych wyrazów moich...

— Wyzyskuję? Na co? Czy mi pani gniew potrzebny, albo przyjemny? To nie ja, tylko pożądana przez panią prawda jest tak okrutna. Ale pociesz się pani moją... regułą, która pod tym względem kobiety równouprawnia. Bo cóżgdź one nie kłamią! Naiwność, wiek, miłość, macierzyństwo — wszystko. Pokaż mi pani taką, która przyzna się, że kazała sobie wprawić ząb lub od miesiąca ma nadziej zostać matką! Po tylu wiekach nieprzerwanego dziedziczenia owej wady przynosicie ją na świat w połowie jako instynkt. Często nie jest to już wyrozumowana obłuda, ale nieświadomy nałóg. Pewien doświadczony uwodziciel zaręczał mi, że jego zamężna kochanka wpadła raz w straszne spazmy po setnej może schadzce, dowiedziawszy się od niego, że jej siostra zostałnim dowodem swej miłości dla narzeczonego nie czekała ślubu. Znalem matkę, której mąż okradł małoletnich i która nie chciała wydać córki za porządnego człowieka, gdyż jego ojciec był sekwestratorem. Tylko Magdalena pokutująca nie czuje się godną rzucić kamieniem na grzeszącą.

— Więc pan chcesz, ażeby występek odsłaniał wszystkim swą nagość?

— Ja co najwyżej chcę, ażeby się nie przybierał w pozory cnoty, ażeby nie był bezczelnym i głupim. Według mnie, występkiem kobiety tak zwanej upadłej jest tylko kłamstwo.

— Pan nie umiesz prostować myśli, tylko je targać. Półgodzinną rozmową wykopałeś około mnie przepaście, pozostawiwszy chwiejną na ostrym szczycie skały, z którego nie mogę ani zejść, ani na grunt pewny zeskoczyć, a pan szydzisz z mojej omyłki, w której przypuszczałam, że dla rzucającej się otworzysz ramiona. Gdyby nie kilka wyrazów, co mnie zdradziły, śmiałabym się z tego sofistycznego bicza, który pan na kobiety kręcisz. Teraz jestem bezbronną. Niewielki to wszakże tryumf dla pana, żeś mi zmącił głowę; tę samą sztukę potrafi kieliszek mocnego wina. Ale... otrzeźwieję.

— Wolałbym, żeby to nastąpiło zaraz, inaczej musiałbym odejść, nie przekonawszy pani, że cię kocham.

— Po swojemu.

— Istotnie, po swojemu.

— Dowodzisz pan jak kangur, gdyby sądził, że ogon, którym się podpiera, nie jest ogonem, lecz pastorałem. Już nazywisz pan sobie ten nowotwór uczuciowy, czem chcesz, tylko nie miłością, bo... odzyskam

oryj i rozejrzeć się w miejscowych warunkach handlu: może one wyjaśnią nam tę zagadkową sprawę.

Na pierwszym planie dostrzegamy nadmierny rozrost nie handlu, ale ilości kupców. Przypuściwszy nawet konieczność pośrednictwa osób trzecich między wytwórcą i nabywcą przedmiotu, przyznać należy, że liczba ta powinna być ograniczoną ściśle i po za zakres niezbędnej potrzeby nie przechodzić. Teorya ucząca nas, że przy wolnem współzawodnictwie wszystko układa się jak najlepiej na tym najlepszym świecie, twierdzi, iż stosunek ilościowy pośredników unormuje się sam przez się. Głębszy jednak rozbiór spraw ekonomicznych dowodnie przekonywa, że nieraz bywa inaczej, bo powikłane i tak różnorodnym podlegające wpływom stosunki socyalne nie dają się uporządkować według przepisanego szablonu; że jak niema normalnie zdrowych ludzi, których wszystkie organy funkcyonowałyby prawidłowo, tak niema również normalnie rozwijających się społeczeństw. Każde z nich ma jakieś przypadłości, idzie więc tylko o określenie ich charakteru i stopnia natężenia. Nadmiar pośredników — to jedna z najcięższych dolegliwości naszych. Ktoby uwierzył, że Anglia, posiadająca olbrzymie rynki zbytu, potwornie prawie rozrosły przemysł, zasilający wyrobami swymi niemal świat cały, że ta Anglia posiada zaledwie 5,2 handlujących na 100 mieszkańców, gdy u nas jest ich aż — 14.

Ta okoliczność pobudza do podejrzanych i ryzykownych przedsięwzięć, ryzykownych nie w owem amerykańskiem, że tak powiem, znaczeniu, bo tej rzutkości, odkrywającej nowe drogi i rynki zbytu, nie mamy zgoła, ani w naturze, ani w wykształceniu. Nasza hazardowność polega na czem innem, to poprostu wdawanie się w rzeczy, których nie rozumie się zgoła, to liczenie na nieprzewidziane okoliczności, a częściej jeszcze nie liczenie się wcale z realnymi warunkami. Ona również wpływa przeważnie na drogość kredytu. Niewątpliwie działają tu i inne przyczyny, ale nie w takim stopniu, jak to głosi opinia. Popyt na kapitały istnieje ogromny, i właśnie ta masa współubiegających się podnosi stopę procentu i szkodliwie wpływa na rozwój przedsiębierstw pewnych i produkcyjnych, bądź to utrudniając im dostanie kredytu, bądź to czyniąc ge zbyt drogim, a więc nie opłacającym się. Kto z góry nie zamierza zapłacić wierzycielom, może im przyobiecać choćby sto za sto, ale nie postąpi tak ten, kto chce uścić się uczciwie ze swych zobowiązań. Wysoka stopa procentu u nas pochodzi nie tyle z braku uruchomionych kapitałów ile ze sztucznego jej podbijania.

Pomimo względnego rozwoju przemysłu krajowego, w wielu gałęziach nie możemy jeszcze, a w innych nigdy nie będziemy mogli współzawodniczyć z zagranicą. Obecnie zalewa ona nas mnóstwem fabrykatów i taki stan rzeczy iść musi w stosunku rosnącym.

Przemysł, na zasadach kapitalizmu oparty, nie może poprzestać na rynkach wewnętrznych, ale szukać musi dla siebie innych miejsc zbytu. Obcy fabrykanci, zwłaszcza niemieccy, napraszają się prawie ze swymi wyrobami, gotowi są do wszelkich ustępstw i ułatwień, i kredytują z musu może, ale napozór bardzo chętnie. Oni też padają najliczniej ofiarą warszawskich bankructw i z pewnością dawno zerwaliby niepewne stosunki z tutejszym światem handlowym, gdyby im szkód nie równoważyła umyślnie w tym celu dokonywana podwyżka cen towarów. Czy jednak zawsze tak będzie? Czy zrażeni ciągłemi stratami lub ograniczonym przez sztuczną drożyznę zbytem, nie odetną się od naszych kupców i nie pominą ich pośrednictwa w handlu z Cesarstwem?

Istnieją zapewne, inne jeszcze przyczyny, więcej już moralno-społecznej, aniżeli ekonomicznej natury. Nie możemy ich tu szczegółowo rozbierać, zaznaczymy tylko, że do nich należy również brak wykształcenia nietylko specyalnego, ale i ogólnego w sferze kupieckiej, zwłaszcza żydowskiej, która dostarcza bezwzględnie i stosunkowo najliczniejszego zastępu bankrutów. W tej ciemnej, pozbawionej podnioślejszych myśli masie nie wyrobił się dostatecznie ścisły kodeks moralności handlowej, tradycya uczciwości kupieckiej.

Głos opinii publicznej, wogóle u nas nieśmiałej i pobłażliwej, tutaj niema żadnego znaczenia. Oszust, któremu udało się zręcznie okpić swych wierzycieli i uniknąć starcia z prawem — zyskuje na uznaniu i za lat parę, albo i prędzej, pod firmę żony, brata lub syna zakłada nowy „interes," aby po pewnym przeciągu czasu zbankrutować ponownie. Są tacy, którzy sztukę tę powtarzali z powodzeniem wielokrotnie i wyszli wreszcie na powszechnie szanowanych kapitalistów.

Czy istnieją jakie środki zaradcze? Surowość prawa, zbyt dziś dla tego rodzaju przestępstw pobłażliwego, a zwłaszcza ściślejsze jego stosowanie, mogłoby choć w części złemu zapobiedz. Wiele zdziałałaby i opinia publiczna, bo chociaż, jak powiedzieliśmy, na winowajców niema bezpośredniego wpływu, ale może chłostać zasłużoną pogardą tych, którzy pobłażliwością swoją osłaniają nikczemną zgraję, bądź też wprost pomagają jej, jak np. niektórzy adwokaci, którzy zrobili sobie zawód z pośredniczenia w regulacyi a nawet z udzielania porady, jak należy *prawnie* i *uczciwie* bankrutować. Niech przed sądem różnego rodzaju oszuści przytaczają okoliczności łagodzące ich winę, głos publiczny nie powinien ułaskawiać ani ich, ani ich inteligentnych obrońców i protektorów. Nasz świat kupiecki musi także zdobyć się na swój własny honor i bronić go. Niepodobna, abyśmy nawet w tej sferze tak spokojnie oswajali się z występkami i przytępiali w sobie zmysł na różnicę moralną. Przecież ta zgnilizna nie da ani zdrowia naszym obyczajom, ani siły naszemu dobrobytowi.

J. L.

Istota własności.

Osią, koło której się obracają wszystkie teorye socyalne, jest *własność*. Poznanie

---

humor. To pryszcz przegimnastykowanego rozumu, ale nie popęd krwistego serca.

— A jednakże to jest rzeczywista, bo zmysłowa miłość.

— Mój panie, zmysły są ślepe, a pańska miłość, chyba nawet śpiąc, oczu nie zamyka.

— Co byś pani powiedziała o człowieku, któryby, zachwycony obrazem Madonny florentyńskiej, ukradł ją z galeryi Pittich i powiesił w swoim sypialnym pokoju? Powiedziałabyś, że w nim złodziej zwyciężył estetykę. Podobnie czyni ten, kto pokochawszy cudzą żonę, uwodzi ją. Ewa, jak Adam, jest naprzód człowiekiem, może zatem posiadać przymioty ogólno-ludzkie: być uczoną, dobroczynną, utalentowaną, zacną itd. Ale następnie, jest ona kobietą, jak Adam mężczyzną, czyli istotą, która w płci drugiej budzi pewne uczucia. Jakie? Estetyczne. Kobieta brzydka, albo raczej ta, która mi się nie podoba, jest dla mnie człowiekiem; dopiero piękna, albo ta, która mi się podoba, jest kobietą. Otóż kobietę mężczyzna kochać może jedynie zmysłami, a jeśli który twierdzi inaczej, to świadomie lub bezwiednie kłamie. Za przekonywający dowód możesz posłużyć pani. Zawsze otaczał cię tłum wielbicieli; przypuśćmy, że wszystkie umysłowe i moralne zalety twoje przeniesiemy w postać jakiejś matrony lub też mężczyzny: czy ci wielbiciele, którzy się dziś unoszą nad twoim rozumem i uczuciami, pozostaną? Co do mnie — wyznaję, że jako człowiek jesteś pani zwykłą, ale jako kobieta—niezwykłą. Jeżeli zaś spotkam piękny obraz, dzieło natury lub sztuki, zachwycam się nim bez myśli odebrania go właścicielowi. Czemuż bym nie miał podobnie zachować się wobec cudzej żony? Zapewne czuję chęć wyłącznego posiadania jej, jak czuję chęć posiadania Madonny florentyńskiej, ale czyż nie mogę oprzeć się rozumem temu popędowi? Wobec miliona estetycznych zadowoleń, jakich doznaję, jedna chwila zwierzęcej przyjemności jest tak małą, że dla niej nie warto być podstępnym złodziejem, unieszczęśliwiać żonę, łamać życie męża i walić na siebie zburzoną ich rodzinę.

— Bardzo... idealnie!

— Rozumnie. Bądźmy konsekwentni. W ciągu życia może mi się podobać mężatek mniej więcej trzydzieści. Przecież chyba pani nie powiesz, że należałoby wszystkim ich małżonkom przyprawić rogi. Idealnie sądząc, powinienbym wyprzeć się wszelkich po za prawym związkiem uczuć, powinienbym skłamać, że żadnej, prócz własnej żony, nie uwielbiam, a skrycie z każdą romansować. Byłby to bardzo szczigodny fałsz, którego nie popełnię. Ja czuję, więc mówię po ludzku, szczerze, a nie przypuszczam, ażebym kogokolwiek tem krzywdził, że nie będąc całkowicie pochłonięty przez moją świątobliwą, trądem oszpeconą żonę, znajduję estetyczną przyjemność w obcowaniu z innemi kobietami. Czasem krew gwałtownie zakipi, ale od czegóż jest rozum, żeby jej wybuchowi nie zapobiegł?

— A jednakże powiedziałeś pan, że poszedłbyś do ostatniego krańca w miłości z kobietą, któraby była zupełnie świadomą swych czynów...

— Jeśli jest wolną — i któraby miała odwagę przyznać się temu, który jej zaufał, jeśli jest zamężną.

— Ha, ha, ha, pan byś dla prawdy świat zgubił! Jest to fanatyzm, nieliczący się z warunkami rzeczywistego życia. Chcesz pan, ażeby kobieta, mająca nieraz dzieci, do których jest przywiązaną, wyspowiadała się przed mężem ze swej miłości dla innego, którego również krępują te same węzły i który jej poślubić nie może, ażeby daremnie rozdarła dwie rodziny, ażeby szczerością zabiła to, co tajemnicą w spokoju utrzymać zdoła, nie, to recepta dla szaleńców! A z drugiej strony nie zaprzeczysz pan, że ci ludzie mają naturalne prawo kochać się, dążyć do siebie, pragnąć wspólnego życia, tajemnych, kradzionych rozkoszy.

— To sprawa całkiem inna. Miłość pomiędzy kobietą zamężną a mężczyzną żonatym, której rozum stłumić nie może a obowiązki ujawnić nie pozwalają, jest nieszczęściem, a wszystkie nieszczęścia mają swój osobny kodeks — rozpaczy.

— Pomówimy o nim kiedykolwiek?

— Nic.

Okoński.

Sprostowanie. W tym odcinku nr. 48 str. 568, szp. 1, w. 23 zam. zaspokoić, czyt. *uspokoić;* nr. 49, str. 578, szp. 2, w. 26 zam. wywołałem, czyt. *używałem.*

jej istoty powinnoby więc być wstępem do wszelkiej dyskusyi o zagadnieniach społecznych.

Ryzykując się na zarzut zarozumiałości, powiem z góry, że, zacząwszy od ustawodawstwa rzymskiego, wszelkie prawnictwo wpoiło w nas zupełnie fałszywe pojęcie o własności, którego się pozbyć nie możemy i które wszystkie nasze spory socyalne zepchnęło na błędne tory. Wiekowe wychowanie cywilizacyjne, które odebraliśmy i odbieramy w organizacyi państwowej, tak nas oswoiło z tą *instytucyą własności*, że uważamy ją za wytwór natury rzeczy, a „filozofia prawa" i „prawo natury" uznały ją za wynik osobistości człowieka, jako jego „przyrodzone prawo.“ Szkoła Heglowska, która tak misternie umiała wynajdywać frazesy tam, gdzie brakowało pojęcia, nazwała własność „wcieleniem się osobistości w świat zewnętrzny;“ na pytanie zaś, jak powstała, filozofowie-prawnicy zgodnie odpowiadali, że albo przez „zajęcie“ rzeczy wolnej t. j. nie będącej w niczyjem posiadaniu, albo przez „pracę i oszczędność.“ Istotę zaś własności widziano, według ustawodawstwa rzymskiego, w „możliwości (prawnej) robienia z rzeczą swoją, co się komu (w granicach prawa) podoba.“

Popełniłem tę wielką herezyę względem panujących w Niemczech doktryn prawniczo-filozoficznych, żem całą tę teoryę własności nazwał z gruntu fałszywą. Odwołuję się teraz do historyi, twierdząc, że własność wszędzie i zawsze powstała przez *podbój* i stanowi *środek panowania*.

Niczem innem ona nie jest, a gdyby tym środkiem nie była, nie miałaby żadnej wartości. Oczywiście nie mówię tu o własności, którą „filozofia prawa“ i „prawo natury“ w sielankowych swoich zapatrywaniach zwykły były przywodzić jako początek tej instytucyi społecznej — o owem „jabłku, które dziki człowiek zrywa sobie, aby głód zaspokoić i które się staje jego własnością.“ Wolne żarty! Z tego jabłka, choćby przy największej „pracy i oszczędności,“ nie urosły latifundya możnowładztwa europejskiego, a gdyby istota własności polegała na tem tylko, żeby dziedzic rozległych dóbr mógł z tą „rzeczą swoją“ robić, co mu się podoba, zginąłby marnie z pracy i trudu, a może i z głodu na milowych obszarach swoich. Nie, prawda historyczna i trzeźwy pogląd w zupełnie innem świetle sprawę tę nam przedstawiają. Wielka własność, podstawa państw europejskich (tak samo jak w innych częściach świata), powstała przez podbój, a istotą *zdobytej* własności i *wartością* jej nie była, „możliwość robienia z rzeczą swoją, co się podoba,“ a był i jest *stosunek prawny*, na mocy którego właściciel *panował* nad innymi ludźmi *i rozporządzał* ich siłami według upodobania. Bez tego stosunku prawnego własność niema żadnej wartości! On stwarza dopiero organizacyę państwową, która nakłada na jednych *przymus* pracowania dla drugich, a więc własność nie jest żadnem „prawem przyrodzonem,“ ani żadnem „prawem natury,“ ale instytucyą a co więcej główną podwaliną państwa. Bynajmniej też nie uwłaczamy jej, przedstawiając w prawdziwem świetle i nie wywodząc od „jabłka zerwanego z drzewa,“ albo z „pracy i oszczędności;“ bo powiedzmy z góry, że bez *takiej* nie byłoby żadnej własności, a bez tej znowu nie byłoby państwa, bez niego zaś nie byłoby nigdy, nigdzie *żadnej* cywilizacyi — pozostalibyśmy wiecznie na stopniu pierwotnym dzikich hord. Nie trzeba więc wcale sentymentalnie upiękniać powstania istoty własności, aby instytucyi tej przyznać rzeczywistą a wysoką jej wartość i historyczne znaczenie.

Ale może mi ktoś zarzucić, że przedstawiam tylko ową własność „patrymonialną“ średnich i późniejszych także wieków, w których istniała niewola i pańszczyzna; że twierdzenia moje nie odnoszą się do własności dzisiejszej, która istnieje przy „swobodzie“ — i jest „wolną.“ Odpowiadam: tylko *forma* się zmieniła, istota pozostała ta sama, co za czasów „patrymonialnych.“ I obecnie wszelka własność jest tylko środkiem panowania a różni się chyba tem jedynie od owej „patrymonialnej,“ że dzisiaj w obrębie państwa nie nabywa się za pomocą *podboju*, ale za pomocą *wyzysku* — a więc nie *gwałtem*, ale *podstępem* — (choć najczęściej prawnym i dozwolonym). Prawda, że dzisiaj właściciel ziemski nie może fizycznym przymusem zniewolić chłopa do pracy na korzyść swoją, ale chłop jest do tej pracy zmuszony, bo nie pracując (a nie będąc sam właścicielem, t. j. nie mogąc korzystać z pracy innych) nie mógłby się wyżywić. Tak samo i robotnik w fabryce. Pracuje on niby z „wolnej woli,“ ale mając tylko do wyboru: śmierć głodową, albo pracę dla właściciciela kapitału. Jakąż zaś korzyść daje kapitaliście ta jego własność? Gdyby tylko miał tę, jaką mu litera prawa przyznaje: „robienia z rzeczą swoją, co mu się podoba“ — to by przed pełnemi kasami Wertheimowskiemi zginął z głodu. Taka własność, takie posiadanie, taka możliwość dowolnego postępowania z rzeczą swoją a więc ze złotem, srebrem i papierami swoimi, na nic by mu się nie przydała. Własność ma tylko tę wartość dla niego, że na mocy istniejących stosunków prawnych, a więc na mocy organizacyi państwowej, zmusza tysiące rąk, które nie posiadają owych środków, do pracowania na korzyść jego, który je posiada.

Ale jakżeż on przyszedł do tej własności? Skąd wzięły początek te kapitały? Odpowiadam, że jeżeli nie pochodzą w prostej linii od podboju (bo i to być może), to są owocem wyzysku a więc (choć prawnie często dozwolonego) podstępu. Dowód na to twierdzenie nietrudny. Wiadomo, że kapitały są owocem handlu i przemysłu. Wszelki handel i przemysł (ma się rozumieć zyskowny, bo inny nie może się utrzymać) polega na zamianie rzeczy mniej wartującej na więcej wartującą, a więc na wyzysku kupującego przez sprzedającego albo przeciwnie. Obie strony nie mogą zyskać; zyska zawsze tylko jedna, a systematyczny wyzysk, trwając przez czas dłuższy, prowadzi do kapitału. Tak przemysłowiec systematycznem wyzyskiwaniem robotnika staje się kapitalistą; kupiec systematycznem wyzyskiwaniem kupujących, producent systematycznem wyzyskiwaniem konsumentów (za pośrednictwem kupca) itd. Czy z tego wynika, że handel, przemysł, produkcya powinny być wytępione? Bynajmniej, bez nich niema cywilizacyi; godząc się na tę ostatnią, zgodzić się musimy na konieczne jej warunki.

Dzisiejsza więc własność nie jest ani mniej, ani więcej „moralną,“ niż czasów „patrymonialnych;“ istota jej bowiem wśród zmieniających się form zawsze ta sama.

Może więc racyę mają ci, co chcą ją zupełnie znieść? Jeżeli pytanie to postawię w innej postaci, odpowiedź sama się nastręczy. Własność, jak widzieliśmy, jest tylko środkiem panowania jednych nad drugimi. Pytam się, czy ludzie mogliby żyć w jakimkolwiek spokoju i choćby na najniższym stopniu kultury, gdyby nie było stosunku panowania jednych nad drugimi? Zapewne, żyliby — jak buszmeni w południowej Afryce, albo jak patagończycy w południowej Ameryce. Kto nie potępia stanu cywilizacyi, musi uznać *państwo*, t. j. tę organizacyę, za pomocą której jedni panują nad drugimi, za instytucyę zbawienną; jedynym wszakże środkiem owego panowania jest instytucya własności, która zatem jest podstawą państwa. Stąd pochodzi, że ono *musi* bronić własności jako podstawy własnego bytu; ktoby zaś chciał znieść ją a nie chciał wyrzec się dobrodziejstw cywilizacyi, winienby najprzód wynaleźć i podać *inny środek*, równie skuteczny—panowania nad ludźmi. Czy go znajdą? Wątpię. Bo gdyby istniał, gdyby był możliwy, pewnieby już w ciągu dziejów był gdzieś wypłynął na wierzch, gdyż nigdy nigdzie własności nie zbywało na przeciwnikach. Gdzie tylko były państwa, tam były klasy panujące i opanowane, albo — co na jedno wychodzi — gdzie tylko istniała własność, tam były klasy posiadające i nieposiadające.

„Ależ bo to wszystko, co tu o własności prawisz, tyczy się tylko prywatnej, osobnikowej!“ — wołają socyaliści i katedrosocyaliści. „My zaś dążymy do własności zbiorowej, ogólnej, *ogółu* — która jest zupełnie czemś innem, i niema tych ujemnych, z sobkowstwa płynących stron tamtej.“

Jeżeli zarzut taki czyni mi prawdziwy socyalista, to jest robotnik, niemający należytego pojęcia o rzeczy, który nie potrafi zgłębić przedmiotu naukowo i wszechstronnie a który chciałby zrobić eksperyment socyalny, na którym nic nie traci, pojmuję go i nie dziwię się wcale. Ale jeżeli zarzut ten spotyka mnie z katedr profesorskich, ze strony ludzi uczonych i myślących, którzy przy odrobinie dobrej woli umieliby kwestyę tę zbadać, to przyznaję, że tracę zimną krew i łatwo przekraczam granicę dyskusyi parlamentarnej. Bo „własność zbiorowa“ t. j. taka, gdzie ogół ma być właścicielem, jest *contradictio in adjecto*, sprzecznością, brednią. W pojęciu własności leży *wyłączność*; jako środek panowania, może ona zawsze tylko być środkiem dla jednych panowania nad drugimi. Jeżeli, jak to wykazałem, posiada tę tylko wartość, że mi zapewnia *usługi* innych ludzi na moją korzyść, to nie ma żadnej wartości i przestaje istnieć, skoro *ogół* jest właścicielem, a więc nikt nikogo z własności tej wykluczyć, a więc w konsekwencyi nikt nikogo do usług dla siebie zmusić, nikt nad nikim panować nie może.

Wszak bardzo szacowną i do życia potrzebną dla każdego człowieka rzeczą jest powietrze. Dlaczegóż niema jego właściciel, ani kapitalistów, posiadających wielkie zapasy tego dobroczynnego żywiołu? Bo ta własność nie może być wyłączną, z posiadania tej rzeczy nikogo wykluczyć nie można, *ogół* ją zawsze posiada i do woli używa, to jest własność zbiorowa (*Collectiv—czy Gesammt — eigenthum*)! Ha, gdyby wszystkie przedmioty potrzebne do zaspokojenia potrzeb ludzkich miały tę, że tak powiem, socyalno-demokratyczną cechę powietrza, że bez pracy należałyby do ogółu, wtedy istniałaby własność zbiorowa t. j. nie byłoby żadnej, żadnej wyłączności posiadania, wszyscy by wszystko mieli poddostatkiem a więc nikt nikomu by usług nie oddawał, bo one byłyby zbyteczne — słowem istniałaby rzeczpospolita socyalno-demokratyczna. Ale skoro nie wszystkie przedmioty potrzebne do zadowolenia naszych potrzeb mają właściwość powietrza, skoro trzeba *pracować*, aby je pozyskać, co więcej, skoro bez pracy jednych dla drugich obejść się niepodobna, tedy instytucya własności a mianowicie prywatnej, osobnikowej jest konieczną, stanowi jedyny środek, za pomocą którego wywieranym być może przymus na jednych pracowania dla drugich. Boć to jasna rzecz, że bez takiego przymusu nigdy by nikt dla innych nie pracował.

„Ależ jakże możesz przeczyć własności zbiorowej, własności ogółu, wołają Adolf Wagner, Schäffle i inni katedro-socyaliści, skoro już mamy przed oczami jej początki i zarody; bo czemże innem jest własność towarzystw akcyjnych, własność państwa, czy tak zwana własność publiczna, jeżeli nie wzorem i żywym przykładem własności zbiorowej; wszak tylko

trzeba dalszego rozwoju tej nowożytnej formy a powstanie z niej własność zbiorowa ogółu (*Gesammteigenthum*).“

Otóż w tem twierdzeniu leży największy fałsz, jeżeli nie powiem obłuda. Bo trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, że własność towarzystw akcyjnych jest zupełnie tak samo osobnikową, pewnej ilości jednostek, jak każda inna i posiada zupełnie tą samą naturę, ten sam charakter, wszystkie te same znamiona i przymioty, jak każda inna prywatna. Własność towarzystw akcyjnych jest, niemniej jak każda inna, wyłączna, mająca wartość swoją przez tę wyłączność; istota jej, tak samo jak każdej innej, polega na tem, że służy za środek do panowania nad innymi, do zjednania sobie pracy a więc do wyzysku innych — bez czego wszystkiego nie miałaby dla towarzystw t. j. dla tej pewnej ilości osobników żadnej wartości. Nie stanowi zatem ona żadnego przejścia do innej formy własności a mianowicie do zbiorowej, bo polega na tych samych warunkach co każda osobnikowa, t. j. na możliwości uzyskania za pomocą jej usług i pracy innych, z własności wyłączonych. Podobny wypadek zachodzi z własnością państwa, czyli tak zwaną publiczną. Kto bezprawnie zabierze drzewo z lasu, tak samo pójdzie do kozy, bez względu na to, czy las jest skarbowy, czy akcyjny, czy prywatny; zaś ani dla państwa, ani dla towarzystwa akcyjnego, tak samo jak dla osobnika, własność lasu nie miałaby żadnej wartości, gdyby nie było ludzi *wyłączonych* z niej, potrzebujących jednak drzewa, wskutek czego właściciele lasu mogą sobie zapewnić pracę i usługę innych ludzi t. j. mają w ręku środek panowania nad innymi.

Twierdzenie więc, że własność towarzystw akcyjnych lub państwa — to już *początek* zbiorowej, do której niebawem dojść mamy za pomocą katedro-socyalistów, jest niedorzecznością, bo wykazana przez nas jej istota nie zmienia się bynajmniej przez przejście na rzecz towarzystw akcyjnych lub państwa*).

W chwili zaś kiedy ogół stałby się właścicielem, własność przestałaby być sobą, nie mogłaby nadal być środkiem panowania jednych nad drugimi a zatem nie mogłaby nadal podtrzymywać organizacyi państwowej; nastąpiłaby więc anarchia a tem samem powrót do państwowego barbarzyństwa — do stanu dzikiego.

Być może, że to rzecz smutna, ale innego wyboru niema: albo anarchia i barbarzyństwo, albo własność osobnikowa, jako środek panowania, zbudowana na niej organizacya państwowa i cywilizacya — a przynajmniej możliwość cywilizacyi.

Ludwik Gumplowicz.

---

*) Znany ekonomista niemiecki prof. Kleinwächter w najnowszem dziele swojem *Die Kartelle*. Ein Beitrag zur Frage der Organisation der Volkswirthschaft. (Innsbruck 1883), nietylko przyjął wyłożoną tutaj w zarysie teoryę moją własności (porównaj tamże str. 23 — 32) jako uzasadnioną ale co więcej, przyznaje otwarcie, że przekonany moimi argumentami, porzucił dawne „kollektywistyczne“ zapatrywania swoje. Pisze on: „Ich gestehe, dass ich anfänglich selbst auch der im Texte erwänten Anschauung („von einer steigenden Bedeutung und Ausdehnung des kollektiven Eigentums“) gehuldigt habe; ich wurde jedoch von Gumplowicz eines Besseren belehrt. In einem Gespräche mit demselben erwähnte ich der wachsenden Bedeutung jenes kollektiven d. i. staatlichen, kommunalen u. dgl. Eigenthums, worauf mir Gumplowicz *ganz mit Recht* erwiderte, das staatliche, kommunale u. drgl. Eigenthum gar kein kollektives Eigenthum im eigentlichen Sinne des Wortes sei.“ (*Die Kartelle* str. 65 w uwadze).

NAWRÓCENI.

W ocenie ogólnego poglądu na świat oraz religijnego stanowiska wybitnych osobistości biografowie ich szczególną wagę przywiązują do czasu, który bezpośrednio śmierć poprzedza: sposób zachowania się człowieka w tej chwili skłonni są przyjmować za najistotniejsze wyznanie wiary, za ostatnie a zatem najszczersze i najdonioślejsze słowo ich żywota. Zwłaszcza często z tego rodzaju mniemaniem występują pisarze stronnictwa katolickiego, gdyż, co prawda, jak zaraz przyczynę tego poznamy, oni to najwięcej na swoją korzyść znajdują wiarogodnych faktów, podnoszą więc skwapliwie wypadki nawrócenia się do dogmatycznej wiary i spełnienia przez umierającego obrządków religijnych wedle rytuału tego lub owego wyznania, tłomacząc objawy te teoryą łaski, tryumfem prawdy itp.

Tak np. w jednym z numerów *Kroniki Rodzinnej* czytamy uroczyście obwołaną wiadomość, że Juliusz Słowacki umierał według ścisłych wymagań kościoła katolickiego, a opowiada o tem arcybiskup Feliński w liście do A. E. Odyńca, który chcąc raz kwestyę tę rozjaśnić, zwrócił się „z zapytaniem chrześciańskiem“ do czcigodnego pasterza, na jego bowiem ręku, jak wiadomo, skończył autor *Ojca zadżumionych*. Dowiadujemy się tedy, że już w początkach wiosny 1849 (rok śmierci) gardlane suchoty, których zarodek od dawna nosił poeta, zrobiły tak wyraźny postęp, iż „niepodobna było nie przewidywać bliskiej katastrofy,“ a nie łudził się i sam Słowacki, mówiąc: „czuję, iż szybkim krokiem zbliżam się do końca.“ Upadek sił był tak znaczny, iż nawet na kilka dni przed śmiercią wystąpiła agrafia, a poeta, chcąc wykończyć jeden rapsod *Króla ducha*, nie był już w stanie sam pisać, dyktował więc z rękopisu, a Feliński pisał na czysto. W wigilię śmierci nie był już i do tego zdolnym, oświadczył, że czuje, iż „duch jego zakończył swą ziemską robotę.“ Nazajutrz rano, gdy wszedł Feliński, zażądał poeta kapłana z Panem Bogiem. Po odbytej spowiedzi, zapanował jeszcze nad „drętwiejącem już niemal ciałem“ i ukląkł, by przyjąć sakrament. Na kilka minut przed śmiercią postrzegamy aleksyę, która, jak wiadomo, jest objawem już tomiejscowego porażenia pewnych ośrodków sensomotornych, już, jak w tym wypadku, ogólnego upadku energii—nie mógł już odczytać listu od matki, chociaż rozumiał jeszcze przez innych czytany. Tak się przedstawiają fakty, nadesłane przez arcybiskupa Felińskiego. Skoro zaś autor artykułu w *Kronice* do opowieści o nich dodaje od siebie wyrazy „największego w życiu uszczęśliwienia, że i ostatni z trójcy naszych wielkich pieśniarzy skończył równie po chrześciańsku, jak dwaj drudzy“ — to łatwo radość tę zrozumiemy, uwzględniając, iż idzie tu o poetę, który niejednokrotnie dawał się poznać jako panteista, który był zawsze wrogiem papizmu i kościelnego faryzeuszowstwa, który nawet, jak gdyby chcąc przygotować kontrast dla ostatnich chwil własnego życia, z ironią mówił:

„życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci.“ (*Beniowski*, P. V).

Nie rozbierając, o ile w danym razie zwrot ten w pojęciach Słowackiego przygotowanym mógł być przez towianizm, który, bądź co bądź, z czystym katolicyzmem nigdy do zupełnego pojednania nie przyszedł, chcę tu tylko okazać, że niezależnie nawet od ubocznej sprzyjającej okoliczności, wypadek ten, jak i inne podobne, wyjaśnia się dostatecznie na podstawie znanych praw psychicznych.

Życie duchowe, o ile jest trwałe[...] głem, spoczywa w zupełności na [...] Wyższe funkcye poznania, rozum [...] lub więcej dzielne, zamknięte s[...] w granicach nagromadzonego i r[...] dzalnego zasobu doświadczeń. Te[...] sób, będący udziałem każdego cz[...] w różnych swych składowych [...] przedstawia niejednakowe wła[...] i co do tego wyobrazić go sobie [...] jako złożony z kilku zachodzących [...] bie i wzajemnie przeplatających się [...] Najgłębiej leżą doświadczenia odzi[...] ne albo bardzo wczesne i elem[...] skojarzenia odruchów, czynności [...] jak: chodzenie, łykanie, patrzenie [...] uczuć czyli gesty itp. Jestto pamię[...] trwała, ale prawie wcale nieświad[...] tomatyczna. Wyżej nieco leży pa[...] warstwa języka, naprzód wykrzy[...] potem słów, przymiotników, rzecz[...] pospolitych, w końcu własnych— [...] dobrze utrwalona wskutek wielki[...] powtórzeń. Dalej jeszcze rozciąga [...] zliczona ilość wrażeń z okresu [...] cego i młodzieńczego, proces[...] mowych i wierzeń względnie pros[...] wskutek okoliczności, towarzysz[...] przyswajaniu (energiczne odżywia[...] wiczość mózgu, powab nowości [...] bardzo trwałych, posiadających w[...] tencyalną zdolność odradzania się [...] czywiście prawie wcale nie odrac[...] się, niewychodzących z głębi n[...] mości.

Wreszcie na samej powierzch[...] pokład wrażeń świeżych, proces[...] szych i złożonych, długą pracą [...] jakieś nowe znajomości, niedawno [...] język, przeczytane książki, filozo[...] glądy wieku dojrzałego. Jest to o[...] pertuar umysłu, zmieniający się [...] rok, z miesiąca na miesiąc, niem[...] na dzień, o równowadze niestałej [...] nej, znikomej, ale za to w wyso[...] niu świadomy, stanowiący ows[...] ważną treść naszej świadomości. [...] kie te warstwy a raczej kategorye [...] w normalnych warunkach życia [...] cechują, iż ich niezależność zn[...] w odwrotnym stosunku do ich [...] uświadamiania się: im trwalszem [...] żenie, tem mniej o niem wiemy, [...] leży pod progiem świadomości, ż[...] Herbartowskiego wyrażenia.

Lecz właściwości te i stosunki [...] się modyfikują albo i do gruntu [...] z ustaniem normalnych warun[...] i z wystąpieniem okoliczności p[...] nych lub wogóle wyjątkowych. [...] więc wszelkie wpływy, które [...] zdrowie i energię odżywiania o[...] wywołują ten skutek, iż niektór[...] pamięci, mianowicie te, które są [...] świeże, słabo utrwalone, z łatwoś[...] dają i to tem łatwiej, im są świ[...] bardziej objęte działa okresem chorobn[...] to sposób działa anemia ogólna i [...] wa mózgu, atrofia kory mózgow[...] ców, wszelkie wycieńczenie, u[...] sen, zatrucie alkoholem, chlo[...] które dosięga przedewszystkiem [...] w procesie nieukończonej integr[...] dujących się, ośrodków. Przy [...] podobnych czynnikach zanikają [...] wyobrażenia, które weszły do u[...] po wystąpieniu wpływu patol[...] albo na krótko przed nim, tak iż [...] ły się jeszcze skonsolidować; [...] nabytki dawniejsze, przyjmowan[...] pod urokiem nowości, wrażane i [...] ne na mózgu świeżym, energicz[...] wianym, dotrzymują się i teraz [...] wet śród stanu patologicznego, [...] go, nietylko się utrzymują, ale z[...] wet na sile i zdolności uświadam[...] Dotąd przygniatane niejako i [...] przez wyższe, późniejsze formac[...] kiem tych ostatnich wypływają [...] i z nieświadomych, jakimi były, [...] świadomymi. Jest to nic innego,

gólny przypadek prawa psychofizycznego (Webera), które orzeka, że ażeby dwa (lub kilka) współczesnych lub bezpośrednio po sobie następujących procesów psychicznych było świadomie odczutych, muszą zostawać względem siebie w stałym stosunku natężenia; np. jeśli dźwięk dany równa się 1, to drugi, gdy ma być słyszany, powinien być $1^1/_3$. Podobnie więc jak w hałaśliwym tłumie nie słyszymy głosu pojedynczego człowieka, tak też w zwykłym stanie rzeczy żywo uświadamiające się wyobrażenia, intensywne procesy rozumowe zagłuszają całą ową utajoną, nieświadomą cerebracyę dawnych wrażeń, przesądów, wierzeń, które wkraczają na pole świadomości wtedy dopiero, gdy tamte, ustępując, do głosu przyjść im pozwolą.

Wszystko to jednak niewtajemniczonym we współczesne teorye psychologiczne wydaje się dość ryzykowną spekulacyą o rzeczach niewidzialnych; dlatego zwróćmy się jeszcze do faktów. A fakty są dość liczne i dość przekonywające.

Wiadomo powszechnie, że amnezya u starców, dotkniętych atrofią, zaczyna się od wypadków ostatniej daty i postępuje wstecz: zapominają oni najłatwiej wrażenia z poprzedniego dnia, tygodnia, cały ostatni okres kilkuletni pamiętają też dość słabo. Mniej jednak zwrócono uwagę na tę okoliczność, że równomiernie ożywiają się w nich i potęgują wspomnienia lat dawno minionych, dziecięcych i młodzieńczych; a jednak takie znaczenie przywiązywać należy do znanej namiętności starych ludzi opowiadania o dawnych, po większej części lepszych czasach. W takiż sposób objaśnia się niedawno w *Kuryerze Warszawskim* (z 27 listopada b. r.) przytoczony fakt niezwykłego przypomnienia. Pan L. jest starcem blisko *80 letnim* i umysł jego *przytępił się* cokolwiek. Pewnej nocy, nie mogąc zasnąć, przewracał się po łóżku i rozmaite myśli wirowały po jego głowie. Stanął przed nim niejasny *obraz dzieciństwa* z osobami, które już dawno spoczywają w grobie. W takiej zadumie przypomniał mu się nagle epizod z *czasów*, gdy był jeszcze *kilkoletnim chłopcem*. Pod wpływem przypomnienia p. L zerwał się z łóżka, zbliżył do starożytnego biurka, otworzył jedną z szuflad, a następnie skrytkę pod nią umieszczoną i wydobył jakiś przedmiot, owinięty w zapleśniały i rozlatujący się papier. Przedmiotem tym były srebrne sprzączki, używane przez mężczyzn do trzewików w drugiej połowie XVIII. P. L. tłomaczy, iż sprzączki te podarował mu przed *73 laty* jego dziadek, a jego ojciec schował je zaraz, aby ich, jako dziecko, nie popsuł. Od tego czasu p. L. *nie myślał* o nich i przypomniał je sobie dopiero po upływie blisko trzech ćwierci wieku.

W wypadku tym, bardzo charakterystycznym i odsłaniającym mało znaną stronę kwestyi, odrodzenie się dawnego i na pozór zupełnie zatartego wspomnienia, zgodnie z prawem psychologicznem, tem pewniej nastąpić musiało, że prócz przypuszczalnej atrofii starczej, współdziałał i drugi czynnik, paraliżujący wyższe, niedość zintegrowane, a normalnie czynne ośrodki, mianowicie sen i wspomnienie, jak widzieliśmy, przyszło p. L. wtedy właśnie, gdy się ułożył do spoczynku, gdy zatem występowała pewna senność. W innych razach sen sam przez się, tłumiąc żywsze, aktualne wyobrażenia, zdolnym jest obudzić odległe i zaprzepaszczone wspomnienia. Z wielu bardzo znanych w tym rodzaju faktów biorę typowy od Abercrombiego. Po śmierci starego ojca X. znalazł się w trudnem położeniu, nie mogąc dowieść dokumentami swych praw do odziedziczonej farmy, gdyż mimo najwiękzych wysiłków nie zdołał sobie przypomnieć, gdzieby te papiery się znajdowały. W najkrytyczniejszej chwili, gdy zagrożonym już był utratą majątku, we śnie zjawia mu się ojciec i wymienia notaryusza, który akt kupna sporządził. Nazajutrz po sprawdzeniu znaleziono rzeczywiście papiery u wskazanego notaryusza, który od dawna z interesów się wycofał, a o którym X. kiedyś zapewne od ojca słyszał, iż prowadzi ich sprawy familijne. Fakt ten, jakkolwiek dość uderzający, nie jest bynajmniej wyjątkowym; owszem, wbrew popularnemu mniemaniu przyjąć można, że często bardzo śnimy o tem właśnie, o czem na jawie wcale nie myślimy, a nawet myślić nie możemy. Podobne skutki postrzegać się dają pod wpływem alkoholu, chloroformu i innych środków znieczulających. Pewien angielski klinicysta opowiada o pewnym nałogowym pijaku, który pod działaniem alkoholu przypominał sobie dawno zapomniane zdarzenia i szczegóły z przeszłości. Stary jeden leśnik w młodości mieszkał na polskiej granicy i mówił wtedy tylko po polsku. Następnie przeniosł się do Niemiec i mowę ojczystą zupełnie zarzucił; dopiero po czterdziestu latach zachloroformowany w ciągu dwu godzin zaczął mówić, śpiewać i modlić się wyłącznie po polsku ku wielkiem zdziwieniu żony i dzieci, które zapewniały, iż nigdy od ojca ani jednego słowa polskiego nie słyszały (Duval).

Stan chronicznego lub chwilowego zaniku wyższych ośrodków mózgowych, umożliwiający powrót do świadomej czynności ośrodkom niższym, stan, który widzieliśmy zawarunkowany atrofią, snem lub działaniem anesthetycznem, występuje też i na skutek szczególnych obrażeń mózgu, a także podczas śmiertelnej agonii, którą poprzedza i której towarzyszy zazwyczaj ogólny upadek energii nerwowej, odbijający się ujemnie przedewszystkiem na ośrodkach, wymagających największej ilości tej energii, t. j. ośrodkach procesów świadomych, lub rozumowych. Pewien francuz, zamieszkały w Anglii i władający wybornie angielszczyzną, doznawszy silnego uderzenia w głowę, zdolnym był przez ciąg choroby mówić jedynie językiem rodowitym (Ribot). Niekiedy możemy nawet stwierdzić pewne stopniowanie w postępującej amnezyi. Tak włoch, dr. Scandella, o którym opowiada Rush, cytowany przez Ribota, przesiedliwszy się do Ameryki, był nauczycielem języków: włoskiego, francuskiego i angielskiego. Gdy śmiertelnie tachorował na żółtą febrę, w początku mówił po *angielsku*, później po *francusku*, przed samą zaś śmiercią tylko po *włosku*—tj. językiem nabytym w dzieciństwie. Tenże obserwator podaje ze słów pewnego pastora luterańskiego, który zamieszkując w Ameryce, miał w swej parafii wielu niemców i szwedów, że wszyscy ci wychodźcy na krótko przed śmiercią *zaczynają się modlić w języku ojczystym.* „Miałem tego — mówił on — liczne bardzo przykłady, jakkolwiek jestem pewny, że wielu z nich nie używało wcale niemieckiego lub szwedzkiego języka od 50—60 lat.“ Winslow wreszcie stwierdza, że katolicy, który przeszli na protestantyzm, podczas przedśmiertnej agonii modlili się zawsze podług rytuału kościoła rzymskiego.

Ostatni ten fakt zbliża się bezpośrednio do wypadku, z którego wyszliśmy i z którego obecnie zdać sobie możemy sprawę przez zestawienie go z objawami pokrewnymi, co do których nie istnieje żadne uprzedzenie nadprzyrodzoności. Widzimy, iż wszelkie przedśmiertne nawrócenia się są właściwie objawem wstecznego odradzania się ośrodków pamięciowych wcześniejszych, które w myśl prawa psychofizycznego występują do życia wskutek zaniku ośrodków późniejszych, słabo zintegrowanych. W wypadkach tego rodzaju obserwujemy zawsze powrót pojęć religijnych dlatego tylko, iż takie właśnie pojęcia stanowiły treść umysłu dziecięcego i młodzieńczego; wpajajmy w dzieci poglądy monizmu lub t. p., przeprowadzając ich umysł następnie do nastroju wiary religijnej, a w ostatnich ich chwilach życia otrzymywać będziemy prawdopodobnie rezultat wprost przeciwny — powrót monizmu.

Mamy przeto taki stan rzeczy, iż człowiek, schodzący ze świata w pełni wieku, jakkolwiekby się przeciw pewnym poglądom i wierzeniom mocno zastrzegał i obwarowywał, w końcu wpadać w nie musi powtórnie, i to wbrew często wiedzy i woli, po prostu pod przymusem przyrodzonej konieczności. Czy mamy nad tym rezultatem ubolewać? Nie sądzę. Człowiek dosyć powołaniu swemu czyni, jeśli, gdy zdrów jest i duchem silny, cierpi i walczy za prawdę.

J. W. Dawid.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Jerzy Myriel **Syn przemytnika,** powieść oryginalna, 1884.

Forma powieści ma to do siebie, że wszelka treść jest dla niej odpowiednią i każdy autor, który się stara wprowadzić do niej bodaj najdrobniejszy szczegół z dziedziny analizy, krytyki, filozofii, socyologii, etyki, estetyki, psychologii, czy też fizyologii, najbardziej nawet fizyologicznej, przez to samo już ją rozszerza i nagina zarazem do wymagań i potrzeb swojego czasu. Jeżeli jednak nikt nie wychodzi po za kanon formy umówionej, rozbijając ją treścią tak do szczętu, że aż traci charakter powieści, jak u braci Goncourt, za to każdy powieściopisarz zawsze naraża osnowę swojego dzieła, choćby najoryginalniejszą, najbardziej zajmującą, najbardziej żywą, ile razy do wyrażenia myśli swoich używa formy cudzej, gotowej, utartej, znanej wszystkim i uznanej przez wszystkich. W pierwszym drugim wypadku łatwiej o popularność, o poczytność, o sławę w oczach tłumu, niż w pierwszym, ale „na wielką popularność—jak powiedział Eötwös — ten tylko może liczyć, kto swoim współcześnikom podaje komunały w pięknie brzmiących wyrazach. Ogół najbardziej lubi takich pisarzów, w których dzielach może podziwiać własną mądrość.“

P. Jerzy Myriel, pisząc dwutomową powieść, chciał przedewszystkiem podobać się ogółowi. Jego *Syn przemytnika,* ani na chwilę, od pierwszej do ostatniej stronicy, nie przestaje być komunałem w pięknie brzmiących wyrazach, i to jest jeszcze jedyna pochwała, jaką bez zastrzeżeń powiedzieć można o tym utworze ze wszech miar nudnym nawet w tych ustępach, które mają bliższy lub dalszy związek z siódmym dziesiątkiem obecnego stulecia. Już sam wątek powieści, pełnej tajemniczych, groźnych, krwawych wypadków przypomina historye, jakie nianki opowiadają dzieciom, ażeby je prędzej uśpić. Ale że nianki słyszały coś o *Nędznikach* Wiktora Hugo, więc Rinaldo-Rinaldini wespół z Janem Valjean tworzą tu jedną postać, jednego człowieka, ulepionego z mózgu literata, nie zaś, jakby to na dzisiejsze czasy przystało, z prostej gliny obserwacyj nad życiem pod wszelkiemi możliwemi jego formami.

„Działo się to lat temu ze trzydzieści może“—opowiada nianka Jasiowi, który napierał się koniecznie szybki z okna. Na salonach warszawskiej arystokracyi królował hrabia Roman Zawiejski. Ten hrabia, który nie był hrabią, przyszedł raz w nocy do swojego faktora i powiedział mu: „Nie mam długów żadnych, grosza nikomu winien nie jestem. Ale chcę być bankrutem dla wszystkich bliższych i dalszych moich znajomych. Wystawię zatem weksle na ciebie, a ty za trzy dni rozpoczniesz likwidacyę mojej masy upadłości. Dostaniesz pięć tysięcy rubli, tylko tajemnica najgłębsza i posłuszeństwo!“

Ten p. hrabia tymczasem był tylko zwyczajnym synem przemytnika, który za cel życia sobie położył: wyposażyć syna, wykształcić go za granicą, nie widzieć go nigdy, nie powiedzieć mu swego nazwiska. Ponieważ taka była wola ojca, cóż zatem dziwnego, że syn podniósłszy raz z banku berlińskiego *sto tysięcy talarów*, nie miał najmniejszej ochoty widzieć się z nim powtórnie i powróciwszy do Warszawy zaczął żyć na wielką skalę. „W kółku ówczesnej złotej młodzieży zajmował okazałe stanowisko, gdyż był, jak (niegramatycznie) mówiono o nim *à toutes épreuves*. Nagle przestał bywać w towarzystwach, które o jego istnieniu przypominały sobie wtenczas dopiero, kiedy rozeszła się wieść, że będzie się strzelał *avec un monsier Wyborek*, urzędnikiem jakiejś instytucyi prywatnej. Biedny Wyborek padł po trzecim strzale. Bohaterem powieści wkrótce przestano się zajmować zupełnie, gdyż zbankrutował i zniknął. W kilka miesięcy potem Roman Zawiejski wszedł, jako chory, do jednego ze szpitalów miejskich i tam, przekupiwszy posługacza, tak przełożył numery łóżek, że dla administracyi został Janem Werką. który pod jego nazwiskiem powędrował do grobu. Odtąd zaczyna nowe życie. Wchodzi przechrzczony do fabryki, kuje żelazo jak prosty robotnik, a w godzinach wolnych od zajęć szuka pani Wyborek, która znikła bez wieści, zostawiając dziecię cudzołożnej z nim miłości na łasce Dühla, milionowego właściciela kamienicy. Dühl małą Łucię przybrał za córkę i pod swojem nazwiskiem (ach, cóż za pomysłowość w przechrzczaniu ludzi!) posłał na pensyę, przemieniając się odrazu z oschłego starego kawalera w najczulszego ojca. Jej matka, dla ukarania swego kochanka, „nie chcąc przyjąć ani nazwiska, ani majątku człowieka, który zabił jej męża,“ puściła się na nierząd, ażeby „jej i jego dziecko przeszło przez upokorzenia, nędzę, może głód a nawet hańbę,“ byle on tylko, on „dumny ze swojej Łucyi przeszedł choć w części przez to piekło życia, przez jakie ona przejść będzie musiała, zanim się dobije do śmierci.“ I Roman Zawiejski, późniejszy Jan Werka, nie przestając wciąż szukać córki, skazuje się dobrowolnie na drogę pokuty, wywozi pieniądze do Berlina, umieszcza w tymże samym banku, z którego je podniósł, *sto pięćdziesiąt tysięcy talarów* (przed trzydziestu laty życie było roskoszne, kiedy ze stu tysięcy robiło się na hulaniu sto pięćdziesiąt) i, „nie mogąc przystać do bractwa „Biczowników,“ skazał się na rzeczywistą, rzemieślniczą pracę—i na ubóstwo rzeczywiste—poszedł za popędem, nietylko wyrozumowanej myśli ekspiacyjnej, lecz także i jakiejś bezwiednej, uporczywej potrzeby moralnej, która mu kazała dziś wraz z upadkiem uczucia religijnego i gwałtownych porywów mistycyzmu iść zwalczać cierpienie moralne na drodze pracy i zaparcia się samego siebie.“

Zanim jednak dawna pani Wyborek przyzwała do siebie pokutującego robotnika i na łożu śmierci, w szpitalu, powiedziała mu stylem tramwayowym: Dühl — Leszno, już jej Łucya kochała się w młodym Przecławskim, który, dla wypróbowania miłości panny, nie uprzedziwszy jej, wyjechał do Zurychu kształcić się, naturalnie, na technika. Panienka dostała zapalenia mózgu z rozpaczy, a wróciwszy do zdrowia, wyszła za mąż wkrótce za zrujnowanego materyalnie i moralnie łotra, hr. Adama Wierzejskiego, który za miliony poczciwego Dühla chciał używać świata po swojemu, z zupełnem pominięciem Łucyi, tej „comtesse Vierge,“ tej „*mademoiselle* ma femme,“ jak ją w szulersko-pijackiem kole tytułował. Ten „nicpon sterany w rozpuście, przeżyty i zwiędły przedwcześnie, nie był nigdy... jakby to powiedzieć... oto nie był nigdy istotnie mężem Łucyi. Był on przy niej, jak ten spracowany koń, wywłoka, co to spotkawszy na łące świeży krzew(?) wiosenny *obsmykuje zeń listki, targa gałązki, lecz wyrwać go nie może.*“ Szczęściem dla Łucyi, w Ćmielowie zjawił się Przecławski, jako pełnomocnik fabryki cukru, który namówił ojca panny-mężatki do rozpoczęcia procesu o rozwód. z tej zasady. że hrabia sfałszował podpis żony na kilku wekslach. Już ostatni zezwalał na rozwód za pięćdziesiąt tysięcy rs. odczepnego, ale po namyśle z rewolwerem w ręku i z groźbą shańbienia Łucyi wymógł od niej, że poszła do pałacu podpisać weksel na trzydzieści tysięcy rs., poczem dopiero on „zgodzi się podzielić najuczciwiej pozostałą resztą.“ I kiedy Wierzejski, stojąc nad brzegiem jeziora, wołał za nią szydersko: „Spiesz się, podpisuj — ale nie myśl gołąbku, że cię tak łatwo stary jastrząb wypuści ze szponów swoich! — majątek ci odbiorę, pogardą zdepczę, na rozwód nie pozwolę i życie twoje zamienię na piekło prawdziwe. Bo i któż teraz obronić cię przede mną zdoła?“

— Ja! — zagrzmiał nagle jakiś głos ochrypły i w tejże chwili ciężka i twarda, jak żelazo, ręka opadła na ramię hrabiego.

Był to naturalnie (!) Jan Werka *vel* Roman Zawiejski, który przyszedł do Ćmielowa podpatrzyć, czy Łucya szczęśliwa i trafiwszy akurat na scenę gwałtu, w rozdrażnieniu, w obrażonem uczuciu ojca, dopóty trząsł dawnym swoim sekundantem, dopóty „zaciskał mu nieświadomie węzeł z odzieży około szyi, aż Wierzejski, jak bezwładna bryła, sztywny i nieprzytomny, padł wznak całym ciężarem w jezioro.“ Ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, ten morderca-anioł-mściciel wyjął z kieszeni hrabiego pugilares, przełożył weń swoje pieniądze, dla tem lepszego upozorowania zbrodni. i przesławszy Łucyi pocałunek z daleka, puścił się prosto „do Lipna i tam oskarżył się o morderstwo, popełnione w ćmielowskim ogrodzie—dla rabunku.“ W drodze. idąc ścieżyną pomiędzy zaroślami, natknął się na chałupę, która mu przypomniała dom rodzicielski, kiedy miał lat sześć, i tam dowiedział się od jakiejś staruszki, że jego ojciec istotnie tu mieszkał przed dwudziestu pięciu laty i że nazywał się Kunecki. Nie widząc już tym razem potrzeby nowego chrztu, gdyż to mogłoby naprowadzić i sprawiedliwość na drogę prawdy i skompromitować Łucyę, pozwolił skazać się na całe życie do rot aresztanckich, wymieniwszy tylko w ostatniej chwili Dühlowi tajemnicę swojego czynu; przytem oddając mu przekaz na owe stopięćdziesiąt tysięcy talarów, złożone w banku berlińskim, zobowiązał, ażeby radca, „gdy przyjdzie czas, obrócił je na stal... lub lemiesz, ponieważ majątek przemytnika musi, jako zadośćuczynienie, pójść na cele użyteczności ogólnej, na broń albo pługi dla najbiedniejszych!“ Pan radca, dowiedziawszy się, o której godzinie przechodzić będzie „transport skazanych na katorgę“ więźniów, zaprowadził Łucyę i jej narzeczonego, Przecławskiego, do kościoła Paulinów i tam z przedsionka pokazał jej mordercę, którego ona nigdy nie widziała przedtem.

I stała się rzecz dziwna... W chwili, gdy oczy młodej kobiety spotkały się ze źrenicami skazańca, promienie tych źrenic uwięziły je w sobie jakąś nieprzepartą siłą... Łucya uczuła nagle, że jej serce rozdziera nowa boleść—nieznana... Miłosierdzie bez granic i... tęsknota trwożna... napełniły łzami jej oczy, wpatrzone w twarz kajdaniarza, a ręka, wyciągnięta mimowoli, nakreśliła w powietrzu krzyż nad tą potępiona przez społeczeństwo głową.

„Krew córki przemówiła jawnie do nieznanego ojca!“ Werka *vel* Zawiejski, *vel* Ptasio (z przezwiska), *vel* Kunecki, „spostrzegłszy rękę córki, kreślącą znak krzyża nad jego nędzną głową, zatoczył się i przypadł do ziemi,“ „błogosławiąca ręka dziecka rzuciła go na kolana,“ ale „jeden z konwoju, potrąciwszy katorżnika kolbą, wyrzekł: Stupaj! tiepier nie wremia molitsia.“ Ale czytelnik książki pewnie do tej sceny nie dochodzi i wcześniej zasypia. Wszystkie bowiem melodramaty mają tę własność, że zmęczywszy uwagę niezwykłością wypadków, do których autor zbyt wielkiej wagi nie przywiązywał, nużą i nudzą w tych właśnie miejscach, gdzie chciał położyć główny nacisk na myśl swoją, na tak zwaną „sentencyę moralną.“ Wprawdzie w *Synu przemytnika* na sentencye moralne nie trzeba czekać do końca, gdyż cała książka naszpikowana jest niemi, jak stare kazanie; w każdym jednak razie czytelnik, który przez pewien czas tylko może obracać się w sferze nieprawdopodobieństw, przy ostatnich stronicach, najmniej może poświęconych „dźwięcznie brzmiącym wyrazom,“ nie ma czasu odczuwać dramatyczności pomysłu, bo jego nerwy zużyły się na gonienie za bezpotrzebnymi efektami. Gdybyż to jeszcze była krytyka kodeksu z punktu widzenia uczuć, lub analiza uczuć z punktu widzenia psychologii, to niechajby tam autor zszywał już sobie obraz życia ze strzępków wszystkich imaginacyj, jakie kiedykolwiek chciały bawić i rozrzewniać świat nadzwyczajnością zdarzeń! Ale w *Synu przemytnika* nie ma ani jednej obserwacyi psychologa, umiejącego własnemi oczami spojrzeć w duszę człowieka, ani jednego rysu zdradzającego talent patrzenia na życie lub umiejętność sądzenia jego form.

Z wyjątkiem hr. Wierzejskiego, który jako tako utrzymany jest w charakterze nicponia i cynika, wszystkie inne postacie są tak płaskie, tak bezbarwne, tak banalne i w tem co robią i w tem co mówią, jak figurki malowane przez szablon jednym kolorem na ścianach jakiegoś domu zajezdnego w prowincyonalnem mieście.

Rozbierać tych postaci nie warto, gdyż są to pryzmy szabru przy szosie, kupki frazesów zebrane nieraz z rozmaitych mów i gwar, począwszy od żydowskich i chłopskich, a skończywszy na francuskich, angielskich, ba, nawet włoskich.

A przytem, po za wypadkami niezwykłymi—ani jednej myśli niezwykłej, po za zdaniami szumnemi—ani jednej obserwacyi głębszej, po za ckliwą sentymentalnością melodramatu—ani jednego uczucia żywego, naturalnie prawdziwego! Nic, tylko retoryka napuszona.

Doprawdy dziwimy się, że *Wiek* powieść tę drukował w swym odcinku.

Antoni Sygietyński.

TEATR.

Jordan *Słomiany człowiek.*

U nas, kto tylko maluje obrazy dla tytułu, kto pisze powieści dla szlachetnych tendencyj, a komedye i dramaty dla aktorów, ten z góry może być pewien, że wszystkie błogosławione owoce powodzenia spłyną na jego głowę, choćby w tych obrazach, powieściach, komedyach i dramatach było tyle sensu, ile jest w szklance wody—koloru. Co prawda, jeżeli za szklanką będzie stał jakiś przedmiot kolorowy, to woda w niej zawarta chwilowo zabarwi się na żółto, na czerwono, na *bleu électrique*, na *Bismarck malade* nawet, ale zabarwi się tylko chwilowo. Usuńmy przedmiot z za szklanki, a woda odrazu stanie się bezkolorową. To samo w sztuce. Dopóki publiczność żywo odczuwa pewne ideje filozoficzne, polityczne, społeczne lub etyczne i dopóki uwielbia talent pewnego aktora, dopóty utwór, oparty na żywotności tych idej i na grze tego aktora, przedstawia dla niej interes. Z chwilą jednak, kiedy miejsce gustów dzisiejszych zajmą jutrzejsze,

kiedy pojęcie o doskonałości gry przeżyje się lub sam aktor umrze, z dziełami takiej sztuki, jeżeli nie tego samego dnia, to z pewnością nazajutrz rano stanie się to, co ze szklanką wody: stracą barwę, którą pożyczyły, i to na krótki czas tylko, stracą swoją żywotność znikomą, ponieważ publiczność odrazu sądzić je będzie z właściwego stanowiska, ze stanowiska wewnętrznej ich wartości artystycznej, nie zaś przez pryzmat swojego zapału do pewnej tendencyi lub swojego uwielbienia dla pewnej gry.

Do takich utworów należyć będzie wiele obrazów, którymi dzisiejsza publiczność zachwyca się, wiele powieści, na których szlachetnej tendencyi wydawcy spekulują, jak na giełdzie, wiele dramatów i komedyj a między niemi i *Słomiany człowiek*, napisany przez Jordana dla jednego aktora.

Ów człowiek podobał się niezmiernie. Publiczność Sal Redutowych wybuchała śmiechem co dwa słowa, a klaskała bez końca co trzy, ponieważ Żółkowski odzywał się co dwa słowa, a co trzy wchodził lub wychodził ze sceny. Nigdy wyższość jego gry nad słowami autora, nad myślą wypowiadaną nie była tak widoczną, jak w roli radcy Piorunowicza, który dlatego tylko jest odrobinę typowym, że Żółkowski jest typowym, dlatego nieco oryginalnym, że Żółkowski jest nawskróś oryginalnym, dlatego kiedy niekiedy humorystycznym, że Żółkowski ma zawsze i wszędzie humor niewyczerpany, dlatego życiowo możliwym, że Żółkowski ubrał go w szatę swoich obserwacyj nad życiem. A jak dalece ta uwaga jest przedmiotową, widać stąd, że publiczność najlepiej się śmiała, najlepiej się bawiła wtenczas właśnie, kiedy Żółkowski milczał, to jest: kiedy autor znajdował się za sceną a aktor, nic tylko aktor, na scenie. Bo zresztą z czegóż innego miałaby się śmiać? Czy z tych dowcipów, które na pamięć umie ze wszystkich porannych i wieczornych kuryerów? Czy też z tych, za któreby za drzwi wyprosiła, gdyby się znajdowała u siebie, w swoim salonie, jeżeliby kto inny, niż Żółkowski, mówił jej głośno o „pilnej potrzebie“ lub wyrazem: „maceracya“ z naciskiem na nieprzyzwoitość obracał przez cały wieczór. A przytem, kto chciałby słuchać człowieka, który wciąż powtarza jedno i to samo: „jestem emerytem i dla powiększenia szczupłych dochodów pozwalam się wybierać na asesora wszystkich „posiedzeń ogólnych“ we wszystkich towarzystwach akcyjnych, gdzie mogę drzemać sobie spokojnie lub rozmawiam po cichu z sąsiadem, głosuję przez powstanie, kiedy mi znać dają, że czas nadszedł, podpisuję najgorliwiej wszystkie papiery, jakie mi przedstawiają, a potem idę na śniadanko z kilkoma akcyonaryuszami, nie wiedząc nic a nic, o czem mówiono na sesyi. Zresztą, co mnie to obchodzi. Mam wyznaczoną dyetę od każdego posiedzenia, a na nią sumiennie zapracowywam, skoro od podpisu nie wymawiam się nigdy i nikomu.“ I człowiek ten, po za rysem dobroduszności, połączonej z najwyższą głupotą, niema żadnego innego, nic, co by w widzu obudzić mogło jakikolwiek interes dla niego.

Jeżeli jednak Piorunowicz, przy ogromie talentu aktora, stał się typem manekina, choć jako tako prawdziwym, to o innych postaciach tyle nawet powiedzieć się nie da, gdyż trudno dopatrzyć w nich reminiscencyj charakterów wyzyskanych już w innych komedyach krajowych i zagranicznych, kiedy tymczasem Piorunowicz jest jedną wielką reminiscencyą z *Syna Giboyera*, co w tym razie trzeba policzyć na korzyść sztuki oryginalnie napisanej. Postacie te, to maryonetki, które uwijają się po scenie, wchodzą i wychodzą, jak w szopce krakowskiej, bez żadnej potrzeby, bez żadnego usprawiedliwienia, pociągane ze sobą sznureczkami najbanalniejszej w świecie intrygi miłosnej i finansowej, które się rwą co chwila. Sztuka mogłaby się skończyć nietylko na każdej scenie, ale na każdem słowie, nie czekając nawet chwili, kiedy Piorunowicz dowie się, że dzięki jego lekkomyślności w podpisywaniu bilansów, szwindlerzy ograbili społeczeństwo, a on mógłby okryć się hańbą, gdyby nie kochanek jego córki, który zdaleka czuwał nad honorem i całością mienia przyszłego swojego teścia i przytrzymał kasyera z pieniędzmi i papierami na dworcu kolei, co uratowało nawet Piorunowicza od śmierci na apopleksyę.

Sztuka wogóle była grana o tyle starannie, o ile z niczego coś daje się zrobić, i z pewnością utrzyma się tak długo w repertuarze, dopóki Żółkowski nie przestanie blaskiem swego talentu nadawać barwy komizmu rzeczom, które same przez się jej nie mają. *Słomiany człowiek*, ten owoc „rodzimego humoru.“ zejdzie ze sceny razem z aktorem i prawdopodobnie nigdy już w innem oświetleniu nie pokaże się na niej, gdyż zawsze niebezpieczniej jest wznawiać sztuki słabe dla aktorów dobrych, niż dobre dla słabych.

W Teatrze Wielkim wznowiono *Mazepę* dla panny Knapczyńskiej. młodej debiutantki. która sepleni i Słowackiego deklamuje jak Psalmy Dawida, głosem wciąż patetycznie podniesionym. Pomimo to w jej grze było dużo uczucia.

Sg.

LIBERUM VETO.

Duet o rynsztoku. — Najzabawniejsza rzecz. — Gruby Marcholt i grube wnioskowanie. — Turniej dramatyczny. — Konkurenci między sędziami. — Bez celu. — Ikra dramatyczna i przyszły jesiotr. — Lepszy użytek z funduszu. — Drugi konkurs chybiony. — Trzeci bez nagrody. — Boczyliński i dr. Starynkiewicz. — Łzy zacnego starca. — Pytania.

. . . .

....*Kuryer Codzienny* zapowiedział druk powieści Emila Zoli *Rozkosz życia*, upewniwszy czytelników swoich, że tym razem autor francuski nie wyleje na nich kubła... „naturalizmu.“ Na to „kochany przyjaciel“ *Warszawski* ze spuszczonemi świątobliwie oczami zrobił wpływową przed nowym rokiem uwagę, że skoro powieść zaczęła dopiero wychodzić w dzienniku *Gil Blas*, więc — nie wiadomo, co będzie w dalszym jej ciągu i... „można się załapać.“ Temu sopranikowi zaakompaniowała swym basem *Gazeta Warszawska*. „Tak to — mówi ona — literatura polska, do niedawna jeszcze chodząca w białej sukience (patrz Kochanowski, Rej, Potocki, Węgierski) ustawia straganik w rynsztoku.“ „Najzabawniejszą rzeczą“ według obu skarżących pism ma być to, że *Kuryer Codzienny* poręcza przyzwoitość *Rozkoszy życia*, nie znając jej całości; tymczasem ponieważ on utrzymuje, że ją zna, więc „najzabawniejszą rzeczą“ jest... oburzenie tych, którzy w „rynsztoku“ nurzają utwór zupełnie im nieznany. Na jakiej podstawie? Na tej, że dawne powieści Zoli „nie wyszły z piany morskiej?“ Czyżby w nich za mało było tej, która wyszła z „piany morskiej?“ Może istotnie zachodzi to nieporozumienie i autor francuski nie dogodził jeszcze naszym — jakby tu powiedzieć? — grekom. Owo zaś nieporozumienie tem bardziej wydaje mi się możliwem, że przed kilku laty za pomieszczenie w b. *Nowinach* bardzo skromnego utworu Zoli zostałem skrzyczany przez pewną dziewiczą gazetę, która nazajutrz rozpoczęła drukować powieść... Belota, ale taką, że ówczesne Eldorado skarżyło się z tego powodu gorzko na niespodziewaną konkurencyę. Nie należę wcale do zwolenników autora *Nany* od czasu, gdy widzę, że jest to „gruby a sprośny Marcholt,“ który ze szczególnem zamiłowaniem zdradza tajemnice akuszeryi społecznej; ale sądzę, że wniosek: praca Zoli, *więc* niemoralna — zawiera zbyt dużo niedorzeczności, żeby go jedno pismo na swą odpowiedzialność wziąść mogło. Słusznie też położyły na nim swe podpisy dwa, którym należy się szczera wdzięczność za przerwanie swym duetem dokuczliwej ciszy.

Ach, tak cicho, że nawet usłyszeliśmy szept dramatu sędziów konkursu dramatycznego! Jak wszystkie u nas konkursy, i ten długo obnosił nagrody po domach dramaturgów i komedyopisarzów; wezwanych nie brakło, ale na wybranych komitet daremnie kiwał. Nareszcie postanowiono zbadać, co woda przyniosła. Między innymi do sądzenia zasiedli: pp. Lubowski, Zalewski, Kościelski. W. Szymanowski. Dlaczego pominięto Blizińskiego z Bałuckim? Wtedy by już komitet posiadał w swem gronie wszystkich niemal, którzy w turnieju występować mogą. Gdyby nie pp. Chmielowski, Bogusławski, Kenig i Kotarbiński, możnaby mniemać, że autorowie dramatyczni, chcąc złośliwie dać swym krytykom sposobność pokazania, jak należy pisać dobre dramaty i komedye, urządzili dla nich konkurs. Ale ponieważ nie jest to figiel, więc szanowni panowie: Bliziński, Bałucki—Łętowski, Świderski i Lanci — na was spoczywa cała nadzieja ocalenia konkursu Melpomeny krajowej. Jeżeli wy nie posłaliście swych utworów na konkurs, to na cztery komisye rozdzielony jego trybunał może stanąć przed narodem ze spuszczonemi głowami i wygłosić smutnie: nie urodził nam się ani Szekspir, ani Molier, 400 rubli więc przeznaczone dla niego na pieluszki muszą czekać dłużej. Ale przy tym żarcie nasuwa się poważne pytanie: czemu u nas konkursy nie udają się wogóle a dramatyczne w szczególności? Dlatego, że nie mamy ludzi przez nie pożądanych (okazało się to przy pomniku Mickiewicza) albo wytwarzają one potrzeby sztucznie. Bo na co igrzyska dramatyczne? Czy autorowie swojscy nie mogą się dotłoczyć do teatru lub literatury? Bynajmniej, jeszcze atrament nie przyschnie na ich pracach, a już reżyserowie i redaktorzy nabywają je chętnie. Zapewne, Bartłomiej Szczypta lub Jasiek Kwiczoł nie wlezliby na słup w święta wielkanocne, gdyby na nim nie było fraka, zegarka i butelki wina; ale nie sądzę, żeby nadzieja otrzymania 400 rs. pobudziła muzę p. Lubowskiego lub Bałuckiego do większej płodności. Co mają narodzić, to porodzą bez tej przynęty, o uznanie sędziów konkursowych starać się nie potrzebują, bo je znajdą w sprawozdaniach krytycznych. A może idzie o tę ikrę literacką, z której przy pomyślnych warunkach ma się narodzić wielki jesiotr dramatyczny? Jeśli taki zalążek istnieje, rozwinie on się bez nawoływań, zwyczajną zaś ikrę lepiej pozostawić sentymentalnym pannom, które sobie z niej przygotują domowy kawior. Dzięki konkursom napływa do wszystkich redakcyj taka masa drobnych rybek literackich, że poprostu trzeba przeciwko nim budować obronne tamy. Zatem proponuję: jeśli między 24 nadesłanymi do komitetu utworami nie znajdzie się ani jeden, któremu warto byłoby przyznać kilkaset rubli i tym sposobem pomnożyć skromny napiwek, jaki dyrekcya teatru daje za wystawienie sztuk oryginalnych, to lepiej bezużyteczny fundusz ofiarować ubogim studentom, niż przywabiać nim drób Melpomeny. Bo ona przez to zastępu swych kapłanów nie pomnoży, a tymczasem wzrastająca corocznie liczba wychowańców naszego uniwersytetu powołuje nas do coraz większej dla nich pomocy. Śród tej młodzieży, która strasznym mozołem nieraz o głodzie przerąbuje się przez twarde warunki życia, która stanowi niepokalany

w nich żywioł—trwa ciągły i owocny konkurs.

Ten sam adres wskazujemy również chybionemu (któryż z rzędu!) konkursowi imienia Pauliny Krakowowej. Z czterech nadesłanych powieści dla dorastających panien, żadna nie dorosła do postawionych wymagań. Ale komitet, przedłużając termin do 1 stycznia 1885 r., ma nadzieję, że „pobudzi doświadczeńsze pióra.“ Wątpię. Gdyby „doświadczeńsze pióra“ miały co do napisania - dla dojrzalszych panien, to by napisały. A czy nie szkoda pracy zmarnowanej na owe cztery powieści, czy nie szkoda rąk, oderwanych od igły lub zajęć gospodarczych? Gdy nie przekonywa logika, przekonywają zwykle cyfry. Otóż proszę policzyć: ile u nas konkursów udało się, a ile zawiodło? Bo upadł nawet mój, do którego wzywałem możnych tego świata dla poparcia biednej uczennicy rzeźbiarstwa. Chociaż ten nie mógł liczyć na powodzenie, był bez — nagrody.

Śmierć zato w ubiegłym tygodniu zebrała obfite żniwo. Umarł zacny nauczyciel Ignacy Boczyliński, jeden z tych, którzy może już niedługo umierać nie będą, oraz syn czcigodnego prezydenta Warszawy, dr. Starynkiewicz. Koledzy pożegnali go żalem, który cnoty nieboszczyka nagradza. Zamknął się już w grobie— szczęśliwy. Ale pozostał nieszczęśliwy starzec, którego smutek odbija się szczerem współczuciem w wielu sercach, pozostał ojciec. Gdybym wiedział, że wypowiem takie słowo, które mu złagodzi boleść w jednem drgnieniu zranionego serca, nazwałbym je błogosławionem. Ale niestety, ojcowie, którzy stracili kochane dzieci, nie znają pociechy. Jestto najokrutniejszy z ciosów, bo zostawia wiecznie otwartą ranę. Niema nędzy, niedoli, szkody, cierpień, któreby od niego nie były lżejsze. Czasem zrozpaczonym znośniejszą wydaje się hańba.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Moje wyznanie wiary.—Anatomia człowieka jako przyczyna pesymizmu.—Serca o czterech przedsionkach. —Obrona tradycyi.—Moja rozprawa z *Gaz. Świąteczną*.— Do chorych biedaków.—Punkty jaśniejsze.

— Zdaje mi się, że pan jesteś pesymistą.
— Tak, a wiesz pan dlaczego?
— Musiałeś wiele cierpieć.
— Rzeczywiście. Przyczyną pierwszego mego zawodu była—anatomia człowieka.
— Jakto?
— Serce ludzkie składa się z dwóch przedsionków i dwóch komórek—przeczytałem kiedyś w podręczniku Hirtla. Wyszedłszy z akademii ujrzałem, że serca wielkiej liczby ludzi zbudowane są z samych przedsionków, nie masz tam ani jednej dość obszernej komory, w którejby się zmieściło jakieś potężne pragnienie, jakaś drgająca życiem namiętność. W przedsionkach drzemie zgraja służalczych uczuć, zgięta we dwoje pokora, wyprostowana jak kołek lojalność, ustrojone w zajęczą skórkę tchórzostwo, dalej obłuda, hypokryzya i inne. Tak panie, Hirtl mnie oszukał, należało uprzedzić o wyjątkach,
— Więc pan nie spotykałeś serc normalnych?
— Owszem, widziałem je i to nietylko w marzeniach sennych, ale i w książkach, dlatego też żal mi dzisiaj i tych szaleńców, co nie pozwolili zatknąć półksiężyca na kościele Szczepana i tych, na których patrzyły faraonów pomniki i tych jeszcze, którym całun na oczy zarzuciła morowa dziewica z San-Domingo.
— Byłżebyś pan za tradycyą?
— Uwielbiam tradycyę i dlatego głęboko nienawidzę tych, co ze szkarłatów jej płaszcza robią sobie dziś storublówki. Kocham przeszłość i dlatego nie jestem konserwatystą...
— Zapewneś się pan omylił.
— Błąd jest po stronie wsteczników—nie po mojej. W przeszłości myśmy umieli się podlić, umieliśmy topić miłość ojczyzny w pucharze, byliśmy zdolni lecieć w otchłań zgnilizny, w komorach naszego serca lęgły się potwory, ale nie było tam drzemiącej koborty służalców, nie spaliśmy nigdy tak głęboko — jak dzisiaj. Ostatniem hasłem naszej przeszłości był postęp. Konserwatyści hasła tego nie widzą i nie słyszą: uszy zatkali sobie szkaplerzem, na oczach położyli—list zastawny. To są ich sztandary, pod którymi pragną zwyciężyć. Dla motłochu, dla kretynów mają inne. Posłuchaj pan np. tego wąsala. Wiesz, dlaczego się tak unosi nad szlachetną dumą Kościuszki? Wczoraj sprzedał córkę bogatemu żydowi, którym pogardza. A ten drugi, co tak piorunuje na Darwina? Przed kilku dniami z okrucieństwem goryla wyrzucił na mróz starą kobietę z dziećmi. Na podobnych wzorach kształci się młodzież. Robi ona na mnie wrażenie tulipanów i narcyzów, z których maniak chce przyrządzić siano dla bydła...
— Dobrze, ale czyż wszyscy są tacy?
— Wszyscy śpią—jak mówiłem. Kiedy ktoś śpiącym żołnierzom podsuwa flaszkę z chloroformem, nie będziesz pan czekał, aż się wszyscy potrują. Zawołasz, aby ich zbudzić. W naszej biednej chacie wyziewów duszących jest tyle, ile ich tylko mogło wytworzyć szacowne laboratoryum.
— Więc skazani jesteśmy na zagładę?
— Nie, panie. Od czasu do czasu otwiera ktoś okno: fale świeżego powietrza i promienie słońca budzą uśpionych i odpędzają nietoperzy wstecznictwa. Przeciwko mścicielom tradycyi wystawili oni widmo kosmopolityzmu. Myślisz pan, że sami się go boją, że z mowy swojej nie zrobili już kosmopolitycznego żargonu, że dla tysiąca rs. nadwyżki nie sprzedają niemcom majątku, którego przez patryotyzm nie chcieli rozparcelować; ale straszyć muszą jednych a usypiać drugich, więc udają obawę.
— Jakież jest ostateczne pańskie żądanie?
— Chciałbym przedewszystkiem, abyśmy się przestali obawiać życia, aby ono płynęło u nas takim strumieniem, jaki może i powinien pozrywać wszystkie młyny, mielące z naszej głupoty mąkę dla faryzeuszów tradycyi. Pragnąłbym również, ażebyśmy zrozumieli, że udana bigoterya jest dowodem słabości, nie siły i że mamy w sobie dość mocy, abyśmy się bez sztucznych podpór i blagierskich płaszczów obejść mogli.

Taką rozmowę prowadziłem w pewnem towarzystwie z pewnym moim znajomym. Powtórzyłem ją tutaj, aby czytelnicy moi wiedzieli, że bicz satyry, którym się posługuję czasem, nie przyrósł mi do ręki i że go w czasie właściwym z ochotą odtrącę.

Nie mogę jednak zrobić tego w tej chwili. Pomimo przemywania szkieł „Perspektywy“ ekstraktem najczystszej miłości, nie dopuszczają one do mego oka różowych promieni, ilekroć patrzę na przedmioty i obrazy czarne. Do takich właśnie należy rozgrywający się u nas od lat dwudziestu dramat „służebnościowy.“ Przed niedawnym czasem robiłem w tem miejscu wzmiankę o oddaniu pod sąd kilkudziesięciu włościan, którzy, fałszywie tłomacząc sobie treść manifestu, stawili czynny opór władzy, rozstrzygającej ich spory z dziedzicem o pastwiska. Odpowiedzialność za wydarzenia podobne przywykliśmy wkładać na barki pokątnych doradców, którzy utworzą u nas wkrótce potężną kastę. Takich właśnie „sprawców nieszczęścia“ wyciągnęła teraz przed trybunał opinii *Gaz. Świąteczna*, opisująca szczegółowo wyniki zajścia. W naszej socyologii daje się zwykle spostrzegać pewna chęć traktowania rzeczy ze stanowiska policyjnego. Że doradcy szkodzą nam bardzo — nie wątpię; ale wszak są oni tylko ogrodnikami, którzy nie zbieraliby owoców, gdyby grunt ich pracy nie był żyznym. Przyczyną zaś wielkiej wydajności plonów jest nietylko głupota naszych chłopów, ale i ich warunki ekonomiczne. Żaden wieśniak nie jest tak ograniczonym, aby bez wyraźnej potrzeby poświęcał „wróbla w ręku“ dla „gołębia na sęku.“ Nie łudźmy się myśląc, iż uprzątnienie „hadwokatów“ usunie przyczyny dramatu, nie łudźmy się nadewszystko, że w danych warunkach naszej gospodarki społecznej doradców owych zdołamy uprzątnąć.

Jeszcze jedna uwaga pod adresem *Gazety*. Redakcya tego pisma, której szanuję dobre chęci i nieuznaję kierunku, uważa za święty swój obowiązek wpajać w naszych chłopów takie poglądy ekonomiczne, których naukowość a często i praktyczność wydaje mi się wielce podejrzaną. „Wtedy tylko własność jest w porządku i każdy rozumnie z niej użytkuje, kiedy wie, co do niego należy i jest odgraniczony od swego sąsiada.“ Że oddzielenie np. pastwisk dworskich od wioskowych leży dziś w interesie obu stron „wojujących“—na to się zgodzę; czy jednak drobna i obok tego indywidualna własność ziemska jest zawsze najlepszym warsztatem pracy rolnika—o tem już wyżej wątpić sobie pozwoliłem.

Cokolwiekbądź czuję, że fale optymizmu coraz bardziej zalewają mi zmysły. Dlatego też skłonny jestem powiedzieć wszystkim chorym oficyalistom pewnej kolei, iż chlebodawcy ich nie na zawsze przestali wierzyć w medycynę i że zupełny prawie brak lekarzy na tej drodze — niedługo zostanie usunięty. Bo zresztą dlaczegożbyście panowie nie mieli restaurować maszyn chodzących, skoro wydajecie na naprawę kół i resorów lokomotywy?

Na zakończenie parę barw jaśniejszych.

Polip niedołęstwa i apatyi stopniowo ze szponów swoich nas uwalnia. Rolę chirurga wypełnia jeszcze dość często Melpomena, która z bogini stała się u nas zapracowaną wyrobnicą. Gazety prowincyonalne donoszą ciągle o nowych jej wysiłkach na korzyść ciemnych lub głodnych. Ostatnią widownią był Miechów. Obywatelom jego, jakoteż i mieszkańcom okolic Opola należy się nadto serdeczna od nas podzięka za popieranie oświaty. Opolanie, którzy, jak się zdaje, pragną przodować naszej prowincyi, myślą o założeniu u siebie 4-klasowego progimnazyum; Miechów, nie poprzestając na dwóch szkółkach elementarnych—myśli o wyższej.

Maryan Bohusz.

Brześć kujawski. Mieszkańcy okoliczni skarżą się na fatalny stan dróg, nienaprawianych prawie wcale. Powiat posiada kilkadziesiąt tysięcy rs. kapitału drogowego, ale pieniądze te wypożyczono sąsiedniemu powiatowi na wybudowanie tam dróg bitych. To się nazywa cudza uprzejmość!

Olkusz. We wsi Czabrowin Jadwiga Osińska dzierżawiła grunt od włościanki Magdaleny Uszczek; gdy termin dzierżawy minął, Osińska zagroziła Uszczkowej, że ją spali, jeżeli ta nie da 15 rs. Sąsiedzi obecni przy tem zadecydowali, że powyższą sumę Uszczkowa powinna zapłacić, bo inaczej pożar mógłby zniszczyć i ich siedziby. Po kilku miesiącach dopiero sprawa ta wyszła na jaw i Osińska pociągniętą została do odpowiedzialności.

Łęczyca. W lasach, przy trakcie od Łęczycy do Kutna, utworzyła się banda rozbójników. Straż ziemska przypadkowo w karczmie natrafiła na kilku z nich. Po wymianie strzałów rabusie uciekli, policya zaś obawiała się ich ścigać.

Rawa. Cyganie ukradli w Opoczyńskiem cztery konie, pogoń wysłana za złodziejami dognała ich. Ponieważ oświadczyli oni, że parę tych koni nabyli w Lubochni, w Rawskiem, straż ziemska postanowiła sprawdzić rzecz na miejscu. W drodze do Lubochni drąga

banda cyganów napadła na konwój, zmusiła go do ucieczki i uwolniła koniokradów, rozumie się, zabierając i konie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 grudnia.

Na pierwszem posiedzeniu Izby poselskiej w Wiedniu minister finansów Dunajewski przedstawił budżet na r. 1884. Zamyka się on 28 milionowym deficytem, chronicznym zresztą w Austryi. Bądź co bądź, przesadzone nadzieje, że krakowski profesor zwróci finanse państwa na nowe tory, nie spełniły się dotąd. Przyjaciele rządu utrzymują, że niepodobna odrobić tego, co psuto w ciągu całego niemal stulecia; słusznie, niemniej uderza w oczy fakt, że rozchody wciąż rosną i dalej odbywa się wyciskanie nowych podatków z pogrążonych w nędzy ludów monarchii austryackiej. Dopóki nie przeprowadzoną będzie ścisła ich redukcya, dopóki nie ulegnie zmianie ugoda finansowa z Węgrami nader niekorzystna dla Cislitawii, o gruntownej poprawie stanu rzeczy nie ma co myśleć. Znaczną część nadzwyczajnych wydatków stanowią sumy asygnowane na budowę lub zakupno dróg żelaznych. Jest to naśladownictwo pruskiego systemu upaństwowienia kolei, słusznego w zasadzie, ale w zastosowaniu do stosunków austryackich na dziś niezbyt pożądanego. Wymaga on bowiem silnej, centralnej władzy, która w ręku rządu nieprzychylnie dla dążeń narodowościowych usposobionego łatwo stać się może narzędziem germanizacyi. Posłowie galicyjscy dotychczas popierają ten system, w zamian za co kraj otrzymać ma kilka nowych, niezbędnych dlań linij. Decentralizacya zarządów w części choć zaradzić by mogła przewidywanemu nieszczęściu, ale cóż, kiedy politycy Koła polskiego wierni zasadzie ultra-lojalności lękają się obrazić rząd natrętnem przypominaniem obowiązku spełnienia dawno uczynionej obietnicy. Oto i teraz klub polski uchwalił po pamiętnych rozprawach „domagać się *energicznie* decentralizacyi zarządów kolejowych, *wszakże z powstrzymaniem się od pogróżek*.“ I chciałabym i boję się!

Sejm pruski odrzucił wniosek Sterna, żądający zaprowadzenia przy wyborach tajnego głosowania, stosowanego przy wyborach do sejmu rzeszy. Rząd odniósł zwycięstwo dzięki jedynie poparciu narodowo-liberałów. Podczas rozpraw wszakże minister Puttkamer zdradził może nieostrożnie plan zniesienia tajemnicy wyborczej wogóle, czem dał opozycyi silną broń agitacyjną, mianowicie hasło niebezpieczeństwa dla konstytucyi.

W parlamencie francuskim skończyły się rozprawy nad przyznaniem kredytu na wyprawę tonkińską. Opozycya stawiła rządowi poważne zarzuty, w rezultacie jednak żądane sumy zostały zatwierdzone. Z teatru wojny niema żadnych prawie doniesień. Chiny odpowiadają notami na noty, ale do wojny również niezbyt się spieszą. Japonia odrzuciła ich propozycyę co do zawarcia przymierza zaczepno-odpornego przeciw Francyi i przyrzekła tylko neutralność. Z inicyatywy rządu niemieckiego wszystkie państwa europejskie wysyłają floty na wody chińskie dla obrony życia i mienia europejczyków, ponieważ fanatyzm mas, zwłaszcza w Kantonie, przybiera groźne rozmiary. Demonstracya ta będzie bardzo na rękę francuzom.

Widmo wojny europejskiej przynajmniej na zimę zażegnanem zostało, umilkła nawet prawie zupełnie polemika dziennikarska. Podróż p. Giersa przyczyniła się do wzmocnienia przyjaznych stosunków między trzema cesarstwami, chodzą nawet pogłoski, mało zresztą wiarogodne o zjeździe monarchów. Jako objaw pomyślny gazety niemieckie notują toast wzniesiony przez Najjaśniejszego Pana na cześć cesarza Wilhelma, podczas objadu galowego w dzień święta orderu św. Jerzego. Pomimo to jednak kurs rubla nie uległ prawie zmianie, emisya złotej renty, jak to było zresztą do przewidzenia, nie wpłynęła na jego poprawę.

W Bulgaryi przygotowuje książe w porozumieniu ze stronnictwem liberalnem zmianę konstytucyi. Ma być utworzoną druga Izba i zmniejszoną liczba deputatów do Sobrania. Niektóre gazety rosyjskie nazywają ten projekt nowem pogwałceniem ustawy. Zdanie to jest objawem złego humoru, bo każda konstytucya może być zreformowaną, idzie tylko o to, jaką drogą uskutecznionem to będzie. Dotąd niema żadnych danych, pozwalających mniemać, że książe Aleksander zamyśla uczynić nowy przewrót wbrew życzeniom większości narodu.

Parlament włoski zebrał się, ale w braku żywotnych spraw zajmuje się skandalami. Deputowany Nicotera w korytarzu Izby wypoliczkował jednego z sekretarzy stanu i to samo chciał uczynić z ministrem komunikacyi, ale go w porę powstrzymano.

W Barcelonie odkryto spisek wojskowy z charakterem republikańskim. Aresztowano wielu oficerów i żołnierzy.

Londyn Powstanie ogarnęło całą prawie Nubię. Rząd angielski czyni przygotowania dla wysłania 6 pułków indyjskich do Egiptu.

Buda-Peszt. Izba magnatów sześciu głosami większości odrzuciła ustawę o małżeństwach mieszanych między żydami i chrześcianami. Projekt powróci do Izby deputowanych i po powtórnem zatwierdzeniu, przedstawionym będzie na nowo Izbie wyższej. Tisza postawi wtedy kwestyę gabinetową.

Wiedeń. Budżet tymczasowy został zatwierdzony.

CUDZE GŁOSY.

Wiecznie to samo. *Ruś* po raz niewiadomo już który porusza znowu sprawę rusinów galicyjskich — odpowiada jej bardzo rozsądnie *Ruskij Kurjer*.

„Czytelnicy nasi — mówi *Ruś* — nie zapomnieli o tem bezwątpienia, jaki alarm podnieśli w r. z. miłujący wolność polacy z powodu zamiaru jednej z unickich parafij „ruskich“ — przejścia na prawosławie (co, powiedzmy mimochodem, przez konstytucyę mocarstwa austryackiego wcale nie jest wzbronionem)! Ale konstytucya, lojalność, prawa, wszystkie te piękne rzeczy dla „ruskich“ w Galicyi wobec panowania polskiego są zamknięte.“

Ruskij Kurjer odpiera to oskarżenie tak:

„Pragnęlibyśmy widzieć—dlaczego *Ruś*, mówiąc *mimochodem* o wolności, z której korzystają ludy w Austryi, co do wyznawania wszelkiej wiary i przechodzenia z jednej do drugiej, choćby *mimochodem, nie dopowiedziała*, że wolność ta nie rozszerza się na wypadki, gdy pod płaszczykiem zmiany wyznania ukrywa się sztuczna agitacya w celu politycznym?... W tem omówieniu prawa austryackiego zawiera się rdzeń i podstawa owej sprawy. Lecz poco tu dokładność i sumienność, gdy *Ruś* potrzebowała wyrzucić pod adresem tak Austryi, jak polaków, frazes szumnobrzmiący, ale pozbawiony sprawiedliwości i prawdy w swej podstawie?“

Na drugi zarzut co do prześladowania ks. Naumowicza odpowiedź jest jeszcze energiczniejszą:

„Widzimy w tem — mówi *Ruskij Kurjer* — bardzo naturalny i prawny stosunek zwierzchności kościelnej względem kapłana, co w biały boży dzień ogłosił przed światem swe odszczepieństwo.“

Praga „Rusi.“ Pod nagłówkiem „Zagrzeb — *Rusi*“ umieściliśmy w tejże samej rubryce odpowiedź chorwatów, daną przed kilku miesiącami organowi p. Aksakowa. Rzecz dzisiejsza jest niejako dopełnieniem tamtej, a wywołał ją p. Łamański w n. 22 tegorocznej *Rusi*, gdzie tak odzywa się o czechach.

„Trudno zataić, że narodowa polityka czechów ma pewne znamiona, z któremi my, rosyanie, żadną miarą sympatyzować nie możemy, i że w ich projektach na przyszłość mieszczą się ideje, których urzeczywistnienie wydaje się nam wręcz niemożebnem. Zarówno starzy jak i młodo-czesi powołują się zbyt często na historyczne prawa królestwa czeskiego. To powoływanie się bodaj czy nie jest mieczem obosiecznym; historyczne bowiem w tym kierunku wspomnienia wskazują, że Czechy były nierozdzielną częścią cesarstwa niemieckiego. A przecież, opierając się o prawo narodowości i zajmując sprawiedliwe stanowisko względem północnej części Czech, która bezsprzecznie jest i pozostanie niemiecką, nabędą czesi prawa przed całym światem do uważania drugiej części swej ojczyzny za słowiańską. Alboż zresztą można przypuszczać, że więcej niż milion niemców da się uwieść cieniowi królestwa, który jest płodem patryotycznego uczucia ze znamieniem poniekąd archaicznem?“

Na to odpowiada *Pokrok*:

„W jakich źródłach doszukał się „slawista“ p. Łamański tego, że królestwo czeskie było nierozdzielną częścią rzeszy niemieckiej, nie wiemy, ani nam też nic na tem nie zależy; życzylibyśmy sobie przecież, aby p. Ł. czerpał historyczne wiadomości o tak ważnych sprawach ze źródeł czystych. Co do „obosieczności“ miecza historycznych praw królestwa czeskiego może być p. Ł. najzupełniej spokojnym. My zresztą przypuszczamy, że tej obosieczności nie obawia się tak bardzo, ile raczej niewygodną mu jest owa „historyczność“ praw czeskich, która stanowi zasadniczą część naszej odrębności. Żądamy zaś stanowczo, aby ona uznaną została nietylko przez innoplemiennych przeciwników, ale tem bardziej przez współplemienników. Nie to bowiem tylko jest czeskim narodem — te półczwarta miliona czechów w Czechach; nietylko tych sześć milionów słowiańskiej ludności tu, na Morawie, na Szląsku i indziej; ale i to wszystko, czego naród ten dokonał *w przeszłości*, jego historya, jego język, w ciągu całych stuleci kształcony, literatura jego, najstarsza ze wszystkich sióstr słowiańskich, jego cała cywilizacya — to wszystko razem stanowi naród czeski. Łatwo jest innym ludom słowiańskim, które w przeszłości nie dokonały niczego, liczyć narodowość swoją tylko wedle głów, czy tam „dusz“ — ale dziwnem jest żądanie, aby czynił to także naród czeski i zrzekł się swej historyczności, czego (choćby ze względów politycznych) uczynić nie śmie i nie może.

Warto też zanotować przy sposobności, jak nasi rosyjscy przyjaciele idą ręka w rękę z naszym najzajadlejszym wrogiem, któremu z równą przychodzi trudnością uznać, że czesi są narodem historycznym i na historyi swoje prawo gruntują. P. Łam. doradza nam nawet podział Czech na część niemiecką i czeską, zupełnie w duchu *Deutsche Zty.* i *N. fr. Presse.* Nasi Herbstowie i Russowie dowiadują się teraz z miłem zdumieniem, że rosyjscy panslawiści są właściwie ich najlepszymi sprzymierzeńcami i druhami.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ograniczenie. Z powodu poruszonej przez władzę kwestyi napływu uczniów pochodzenia żydowskiego do gimnazyów, rady pedagogiczne zakładów naukowych w okręgu kijowskim i odeskim wystąpiły z przedstawieniem, żeby w żadnej szkole nie było więcej jak 5% izraelitów. Uchwała ta ma wkrótce uzyskać zatwierdzenie.

Muzeum mleczarskie projektuje założyć w Warszawie p. Zygmunt Jaroszewski; ma ono być urządzonem na wzór muzeum pszczelniczego, tj. będzie nietylko zbiorem okazów, ale zarazem i rodzajem szkoły dla chcących nauczyć się tej gałęzi gospodarstwa.

Zaprzeczenie. *Dziennik Warszawski* nazywa pogłoski roznoszone przez dzienniki zagraniczne o mianowa-

niu p. Apuchtina naczelnikiem rządu cywilnego w Królestwie pozbawionemi wszelkiej podstawy.

Sekcye statystyczne, istniejące przy zarządach gubernialnych w Cesarstwie, mają być wskutek przedstawienia komitetu ministrów zaprowadzone również i w Królestwie.

Odczyty. Szósty i siódmy odczyt na korzyść szkoły rzemiosł miał p. Milicer. Prelegent mówił „O wyrobie cukru z buraków,“ przyczem wykonał wiele doświadczeń. W pogadankach tych jasno i przystępnie wyłożony został cały przebieg fabrykacyi. Ostatnie dwa wykłady ściągnęły najwięcej słuchaczów i rzeczywiście były najbardziej zajmujące.

Proces. Redaktor wychodzącej we Lwowie prawowierno-żydowskiej gazety: *Zeitung für die wahre Judenthum* skazany został na miesiąc więzienia za pomieszczenie w swem piśmie sławnej „klątwy rabinów,“ wymierzonej przeciw postępowym izraelitom.

Cyrkularz o domowem nauczaniu, według wyjaśnienia ministeryum oświaty, nie stosuje się i do południowo-zachodnich gubernij.

Sprawa cofnięcia zapomóg rządowych, udzielanych dotychczas warszawskim instytucyom dobroczynnym, pomimo zapadłej już w tym względzie decyzyi, będzie powtórnie rozpatrywaną, wskutek przedstawienia, że całkowite pozbawienie tej pomocy jest niemożliwem. Nastąpi jednak podobno zmniejszenie wydawanych zasiłków do sumy 50,000 rs. rocznie, mianowicie odebrane mają być zapomogi dla szpitala starozakonnych i towarzystwa dobroczynności oraz zredukowane fundusze, przeznaczone na utrzymanie szpitali.

Nowy szpital dla obłąkanych stanie wkrótce w Tworkowie. Na budowę jego potrzeba 700,000 rs. W tym celu złożono już w banku sumę 300,000 rs., reszta zaś dopełnioną ma być procentami od „funduszu użyteczności ogólnej.“

Szkoła muzyczna. Warszawskie Towarzystwo muzyczne otrzymało pozwolenie na otworzenie szkoły muzycznej. Czy nie za wiele tego dobrego, kiedy już mamy konserwatoryum?

Renta. Ogłoszony świeżo ukaz poleca ministrowi finansów dokonać emisyi renty państwowej na 50 mil. rs. złotem. Emisya ma na celu spłatę długu Bankowi państwa. Renta zostaje uwolnioną od podatków i dawać będzie 6% wypłacanych co pół roku w złocie lub biletach. Wykup jej nastąpić może dopiero po upływie 10 lat, nabycie zaś ułatwionem jest przez rozkład na raty.

Nowe drogi. Gazety rosyjskie donoszą, że udzieloną została koncesya na budowę dwu nowych odnóg drogi iwangrodzko-dąbrowskiej; jedna z nich dobiegnie do pruskiej granicy i połączy się z drogą górno-szląską, druga zaś z austryacką tz. północną drogą żelazną ces. Ferdynanda.

Towarzystwo rolnicze w Mińsku, założone w r. 1876 liczy obecnie 112 członków, posiada 1200 rs. dochodu i bibliotekę złożoną z kilkuset tomów. Celem jego jest rozpowszechnienie między rolnikami ulepszonych sposobów uprawy ziemi.

Uniwersytety. W Niemczech jest 22 uniwersytetów i 25,442 studentów, w Austryi 19 i 17,573, w Hiszpanii również 10 i 13,722, w Rosyi tylko 8 (9-ty w Finlandyi) i 10,305 studentów. Wobec tego zamilknąć powinny krzyki wsteczników o nadmiar inteligencyi i żądania zaprowadzenia kompletu. W trzech tylko uniwersytetach: moskiewskim, kijowskim i kazańskim, jak donosi *Now. Wremia*, wakuje 28 katedr a przeszło 500 studentów rocznie opuszcza kursa przed ukończeniem—dla braku środków,

Gimnazya. Według sprawozdań ministeryum oświaty, we wszystkich gimnazyach państwa rosyjskiego znajdowało się 60,272 uczniów. Zestawiając cyfry te z liczbą mieszkańców wypada, że na 1000 żydów było uczniów 2,68, na 1000 pratestantów—1,87, na 1000 katolików—1,50 i na 1000 prawosławnych—0,65.

Bibliografia polska. Schiller *Dzieła*, zeszyt IV. Lwów, Richter.

— A. Fournier *Syfilis i małżeństwo*, przełożył dr. A. Elzenberg. Warssawa, Lesman i Świszczowski.

— Wiktor Czajewski *Kaszubi*, Warszawa.

— Marya Konopnicka *Wrażenia z podróży*, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— *Lira polska*, tomik V. Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— J. I. Kraszewski *O pracy*, Warszawa, K. Prószyński.

Nowy demagog. Został nim ks. Stojałowski, redaktor dwóch dzienników ludowych, a oskarżył go o te przewrotne tendencye p. Jan Lam, za to, że w jednem ze swych pism ów ksiądz wyraził się, iż „Macierz polska“ służy interesom szlacheckim i dlatego na zaufanie ludu nie zasługuje. P. Lam na starość robi się coraz gorliwszym stróżem moralnego i społecznego porządku.

Sprostowanie. P. Kowalewska, z domu Korwin-Krukowska, która świeżo zyskała stopień doktora filozofii na uniwersytecie stokholmskim, nie jest wcale polką, jak donosi *Kuryer Warsz.*, ale rosyanką.

Jubileusz Miklosicha. Podczas obchodu na cześć znakomitego slawisty zaszło kilka przykrych wypadków. Początek dali chorwaci, obrażeni na Miklosicha, że język ich utożsamił z serbskim. Nietaktowniej postąpił niejaki Dudykiewicz, rusin ze stowarzyszenia „Bukowina“ (świętojurcy), który zarzucił jubilatowi, że niewłaściwie język rusiński uznał za samodzielny. W odpowiedzi na to wystąpienie rusini, członkowie towarzystwa „Sicz“ (ukraińskie) zaczęli wołać mówcy: *pereat!* Poparli ich serbowie. Awantura cała przybrała gorszące rozmiary. Twierdzenie niektórych gazet rosyjskich, że inicyatorami zajścia byli polacy, okazało się fałszywem; ci ostatni wcale w sporze nie przyjmowali udziału.

Oryginalny napad. W Izinmie (gub. charkowska) w sali sądu okręgowego na pewnego adwokata przysięgłego napadło kilkanaście dam i silnie go poturbowało. Główny udział w boju przyjmowała pewna panna, którą ów adwokat bałamucił, a potem porzucił.

Droga żelazna w Chinach. Po długim namyśle rząd państwa niebieskiego zgodził się wreszcie na budowę kolei z Pekinu. Będzie to pierwsza droga żelazna w tym kraju.

Szczególna grzeczność. Z własnej inicyatywy zarząd dróg południowo - zachodnich wysłał oddzielny wagon salonowy, przeznaczony zwykle dla wysokich dygnitarzy aż do Radziwiłowa po panią czy pannę Judic, operetkową śpiewaczkę. Jednocześnie ze względów oszczędności odmówił zapomogi na otwarcie w Żmerynce szkoły dla dzieci urzędników i oficyalistów kolejowych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. E. O. Artykuł pański bardzo słuszny nie nadaje się do naszego pisma, bo ono do rąk piwowarów zapewne nie dochodzi. Byłoby skuteczniejszem poruszyć tę sprawę w jednym z *Kuryerów*.

H. Każdy z innej przyczyny, ale oba nie dla nas.

P. W. Ch. w Petersburgu. Wydaniem takiego komentarza lub słownika zająć by się mógł jedynie nakładca Langego. Według nas daleko pożyteczniejszem byłoby zamiast tego przełożenie *Historyi filozofii* Ueberwega, o czem myślimy. Adresu dra O. nie znamy.

Zul. Pomieścimy, ale później; tymczasem prosimy o pożyczenie nam na krótko oryginału.

X....emu w Płocku. Serdeczne dzięki za list Wasz. Szczegółowego rozbioru nie było, więc go wskazać nie możemy.

Bezimiennemu. P. E. K., jak widzimy z listu pańskiego, jest osobistością zbyt drobną, ażeby pismo publicznie zajmować się nim mogło. Nieprzyzwoite zaś figle na balu winny być skarcone przez ojca lub brata panny, nie zaś przez nas, zwłaszcza ze skargi bezimiennej.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Декабря 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski**